Nr. 207. Lwów — Wtorek dnia 8 Września. Rok 1896.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.
NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 6 „
Numera z poprzednich dni po 10 ct.
Wszelkie „Doniesienia prywatne" jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD
POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i w Austryi miesięcznie 1 zł. 10 ct. [illegible]
Za zmianę adresu dopłaca się 20 ct. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.
Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: [illegible]
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . 20 ct. | Nekrologia . . 20 ct.
Ogłoszenia do *Przeglądu* przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika l. 9.
Ogłoszenia nad przeglądem politycznym 30 ct. od wiersza.

Dziś: Narodzenie NMP. | Pymona Pr. — Jutro: św. Gorgoniusza | Mojżesza
Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.
Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.
Wschód słońca g. 5 m. 34 — Zachód „ 6 „ 20
Długość dnia g. 12 m. 46 — Ubyło dnia od wczoraj 4 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 7 września.

Znaczenie zjazdu monarchów we Wrocławiu omawiamy w osobnym artykule. W tem miejscu tylko zaznaczamy, że dwór niemiecki dołożył wszystkich starań, aby ten zjazd wypadł jak najwspanialej. Z książąt krwi przybyli na powitanie carskiej pary książęta pruscy Henryk, Leopold i Albrecht, tudzież książę bawarski Leopold, a z Włoch hrabia Turynu. Kompanię honorową na dworcu tworzył oddział grenadyerów imienia cara Aleksandra we starościeckich mundurach paradnych z czasów Fryderyka II: białych pantalonach, niebieskich kurtkach i ogromnych bermycach. Zjazd we Wrocławiu był olbrzymi, niettylko bowiem przybycie carskiej pary ściągnęło wielu, ale także uroczystość odsłonięcia pomnika Wilhelma I, która odbyła się dniem przedtem. Cesarz niemiecki wypowiedział cały szereg mów i toastów. — Pierwszą miał w ratuszu w odpowiedzi na przemowę burmistrza. „Mieczem mego wielkiego pradziada zdobyty — rzekł Wilhelm II — a przez jego następców pielęgnowany troskliwie, otrzymałem Szląsk od przodków jako perłę i najpiękniejszą prowincyę mego królestwa. Przejęty historyczną wartością tego punktu, uświęconego wspomnieniami dawnych i późniejszych czasów, niezmordowanie troszczył się będę zawsze o dobro Szląska, aby go kiedyś zostawić tak pięknym, lśniącym i wspaniałym, jakim go otrzymałem. Piję na pomyślność mego stołecznego miasta Wrocławia, którego obywatelstwo zgotowało mi tak wspaniałe przyjęcie. Przyjmijcie za nie podziękowanie mego serdecznego. Niechaj błogosławieństwo Boże spadnie na to miasto, niechaj ono kwitnie, rozwija się i rozszerza w każdym kierunku. To jest moje serdeczne życzenie."

Wieczorem w piątek dał cesarz obiad, na który otrzymali zaproszenie reprezentanci władz i obywatelstwa szląskiego. Do nich zwrócony, dziękował cesarz za uczczenie pamięci swego dziada Wilhelma, którego nazwał wielkim. „Pomnik wzniesiony temu wielkiemu cesarzowi — rzekł Wilhelm II — jest rękojmią, że uczucie pietyzmu dla niego nigdy nie wygaśnie. Jako wnuk i następca jego, dziękuję wam z głębi serca, dziękuję także za tak podniosły nastrój, jaki spotykam u obywatelstwa. Ilekroć przejeżdżam przez łany szląskie, zawsze napełnia mnie to radością i dumą, że ten piękny kraj należy do korony. W dniu dzisiejszym spotkałem niegdyś wielu mężów, którzy z poświęceniem służyli memu dziadowi. Cieszę się, że jestem znów między wami. W tem, że tej prowincyi właśnie dane było być świadkiem wielkiego historycznego zdarzenia, widzę osobliwe zrządzenie Boże. Tu nawiązany został węzeł przyjaźni między dwoma potężnymi domami panującymi, stąd mój pradziad wydał odezwę do narodu, po której naród pruski w szeregi swe się zwrócił i powstała korona cesarska. Niechaj ten wspaniały kraj zawsze zieleni się, kwitnie i rozwija. Piję na pomyślność Szląska."

Wieczorem w sobotę dał cesarz Wilhelm na cześć carskiej pary obiad galowy, na który otrzymało zaproszenie 325 osób. Następujący był toast, wzniesiony przez Wilhelma II-go na tym obiedzie na cześć carstwa: „Dziękuję Waszej cesarskiej Mości imieniem tej prowincyi i całego mego narodu za to, że witam Waszą cesarską Mość jako orędownika pokoju na tej ziemi, na której niegdyś pradziad Waszej cesarskiej Mości z moim pradziadem stali wiernie obok siebie. Niech Bóg otacza Waszą cesarską Mość swą opieką dla dobra Europy. Piję na cześć Najjaśniejszego cesarza Rosyi i cesarzowej Aleksandry." Mikołaj IIgi odpowiedział na to następującym toastem francuskim: „Zapewniam Waszą cesarską Mość, że żywię dla Waszej cesarskiej Mości i jego domu te same tradycyjne uczucia, które żywił mój ojciec i kierując się tem uczuciem, piję na cześć Najjaśniejszego cesarza Wilhelma i cesarzowej."

We Włoszech wielkie wrażenie sprawiła mowa, którą Felice Cavalotti wypowiedział na zgromadzeniu wyborców w Cartecolonie pod Pavią. Radykaliści uczcili demonstracyjnie występ swego przywódcy, na zgromadzenie przybyło bowiem dwadzieścia czterech deputowanych z ich stronnictwa. Cavalotti zaniechał swych dawnych wycieczek przeciwko Niemcom i Austryi, a Francuzom powiedział nawet parę słów cierpkich, wzywając ich, ażeby zmienili swą politykę handlową względem Włoch. Cavalotti nie entuzyazmuje się trójprzymierzem, ale godzi się z niem. Całą furyę, z jaką zwykł przemawiać, zwrócił Cavalotti tym razem przeciw Crispiemu. Wyrzutów mu nie szczędził. Człowiek, który trząsł narodem przez lat tyle, przedstawiony został jako nadający się do zamknięcia w domu dla obłąkanych, jako mający na sumieniu więcej zbrodni niż włosów na głowie. Rudini zyskał na porównaniu ze swym znienawidzonym poprzednikiem, ale i jemu zapowiedział Cavalotti, że straci wszelkie względy, jeżeli izby nie rozwiąże. Radykaliści pragną oczywiście rozwiązania izby, gdyż sądzą, że pod wpływem wspomnień klęski afrykańskiej wybory w wielu miejscach przejdą na ich stronę. Cavalotti groził rządowi, że gdyby izby nie rozwiązano, przejdzie do bezwarunkowej opozycyi i uniemożebni mu kierowanie sprawami przy pomocy dzisiejszego parlamentu. Wobec rozbicia stronnictw, które we Włoszech nie jest mniejsze, aniżeli gdzieindziej, udanie się takiego planu jest możliwe.

Zjazd wrocławski.

Piszą nam z Wiednia 6 września:

Zręczność zmarłego ks. Łobanowa, tudzież pewne stare, wynikające z odwrotnych powodów prądy russofilskie, utrudniające dotąd nową realistyczną politykę zagraniczną tak w Wiedniu, jak w Berlinie, sprawiły, że kontury ugrupowania międzynarodowego, które powstało w roku 1879 zawarciem sojuszu austryacko-niemieckiego, a następnie wydoskonaleniem przez przystąpienie Włoch, okryły się całkiem są zatarte. Świadczy o tem najlepiej cesarski zjazd wrocławski. Dla ludzi obeznanych z dziejami, już okoliczność, że cesarz niemiecki, uwiadomiony o zamierzonych odwiedzinach pary carskiej, na miejsce zjazdu zaproponował nie Berlin, lecz Wrocław, nabierała pewnego znaczenia. Aby zaś w tej mierze nie było żadnej wątpliwości, cesarz Wilhelm na przedwczorajszej uczcie władz i reprezentacyi prowincyonalnych wygłosił toast, w tem miejscu zupełnie nie umotywowany, w którym przypomniał, że tutaj jego pradziad wydał odezwę do narodu, w której naród pruski pobudził do walki (przeciwko Francuzom) i z której (w dalszej konsekwencyi) powstało nowe cesarstwo (niemieckie). Nie dość na tem: także na wczorajszej uczcie dworskiej cesarz niemiecki, cara „opiekuna pokoju" witał na tem miejscu, „na którem niegdyś przodek cara, z jego pradziadem wiernie stał" i toast ten przez to wymowny, że jak wiadomo, po odwrocie Napoleona I-go z Moskwy dnia 26 marca 1813 roku, została zawarta w Kaliszu wojskowa konwencya prusko-rosyjska, następnie odbył się zjazd cara Aleksandra I-go i Fryderyka Wilhelma we Wrocławiu, gdzie 29 marca przyszedł do skutku traktat, celem „oswobodzenia Niemiec od jarzma francuskiego". Jeżeli sobie teraz przypomnimy, że Rosya i Francya złączone dziś ścisłym sojuszem (jak po sławnym kongresie w Erfurcie r. 1808) i że na odwrót od roku 1879 istnieje także pomiędzy Austro-Węgrami a Niemcami nie tajny, lecz urzędownie ogłoszony (w lutym 1888) traktat, którego pierwszy artykuł przypuszcza możliwość napaści rosyjskiej na jednego z dwóch sprzymierzeńców, natenczas te historyczne reminiscencye przyjaźni dynastyi rosyjskiej i pruskiej, zadokumentowanej wspólną walką przeciwko Francyi, sprawiają niezawodnie wrażenie co najmniej oryginalne. Od roku 1815 wszak nastał całkowity przewrót międzynarodowych stosunków Europy. Wszelkie zwroty do systemów internacyonalnych z r. 1813, albo 1815 tworzą dziś dziwaczną anomalię. Tworzą ją tak samo w Berlinie, jak w Wiedniu, o ile się nie poprzestaje na zachowaniu osobistych przyjaznych stosunków dworskich, lecz usiłuje się stosować je do państw.

W Wiedniu, jak we Wrocławiu odpowiedź cara wystawiła owe reminiscencye i iluzye na bardzo zrozumiałą kontrpróbę. Tutaj car po ciepłym toaście Cesarza Franciszka Józefa zdobył się tylko na chłodne podziękowanie za „reception charmante". We Wrocławiu historyczno-entuzyastyczny toast cesarza Wilhelma nie tylko, że nie podniósł w odpowiedzi — jak się łatwo zauważa —, lecz i jego dworu „żywię te same tradycyjne uczucia, jak mój ojciec". Zrozumiemy dobrze: nie jak pradziad Aleksander I, albo Mikołaj I, lub Aleksander II, lecz jak tak ojciec, Aleksander III, któremu nikt nie przypisywał szczególnej przyjaźni dla Niemiec (ani dla Austro-Węgier), który przeciwnie wygłosił znany toast, że jedynym jego przyjacielem jest ks. Mikołaj Czarnogórski i który oświetlił wobec pocałunku za ten aliansu... z Francyą! Cesarz Wilhelm odwołuje się do wspólnej wojny przeciwko Francyi, car występuje jako prawny spadkobierca polityki swego ojca! W drugim toaście Mikołaja II wystarcza wtrącić słówko: tylko („żywię dla twej dynastyi tylko te same uczucia, co mój ojciec"), aby dokładnie wyjaśnić sytuacyę międzynarodową, zagmatwaną deklamacyami i panegirykami prasy urzędowej. Car jako sprzymierzeniec jedzie do Paryża. Żadne toasty, żadne reminiscencye historyczne, żadne uprzejmości dworskie nie odwrócą go od sojuszu z Francyą. Na odwrót wszelkie zabiegi w tym kierunku są całkiem zbyteczne, aby nie użyć dosadniejszego wyrażenia. Nie od humoru cara zależy pokój europejski, lecz od militarnej itd. przewagi ligi potrójnej, która nadto w każdym zatargu z Rosyą i Francyą może liczyć na poparcie Anglii. Rzeczywistą gwarancyę pokoju tworzy zatem utrzymanie, wydoskonalenie trójprzymierza, gdy tymczasem wszelkie umizgi do Rosyi, zresztą daremne, mogą tylko osłabić i ostatecznie rozsadzić trójprzymierze. Podobno we Wrocławiu odbyła się konferencya pomiędzy kanclerzem ks. Hohenlohem, Szyszkinem, ks. Radolinem i hr. Osten-Sackenem. Nie może ona obudzić żadnej ciekawości. Wiedeński i wrocławski toast Mikołaja II są manifestacyą tak zrozumiałą, że żadne sztuczki i wybiegi dyplomatyczne nie zdołają osłabić jej wrażenia.

Korespondencye.

Londyn 30 sierpnia.

(*T.*) Pomiędzy rozmaitymi rocznymi raportami, które ogłaszane bywają peryodycznie w formie *Blue Books* i które pozwalają, rzec można, uchwycić życie społeczne angielskie za puls, żaden nie jest rozbierany tak ściśle jak ten, który się tyczy oświaty elementarnej. Zawsze ciekawy, nabrał on w roku bieżącym jeszcze większego, wyjątkowego znaczenia. Rząd, jak sobie czytelnicy przypominają, przedstawił był bill o oświacie ludowej, ale zmuszony został wycofać go z powodu powszechnej opozycyi, jaką był napotkał. Jak obiegają pogłoski, projekt ten tak stronniczy względem anglikańskiego duchowieństwa, był osobiście wypracowany przez pierwszego ministra, lorda Salisburego, który go gabinetowi swemu narzucił. Wieść ta jest prawdopodobną, bo dobrze znaną jest nienawiść szlachetnego lorda zarówno do katolicyzmu jak do szkół państwowych. Sprawozdanie o stanie szkółek elementarnych rozjaśniło wiele ciemnych punktów i stanie się podwaliną rozpraw, które niezawodnie rozpoczną się znowu o tym samym przedmiocie w roku przyszłym.

Ogólne wrażenie, jakie raport za ubiegły rok szkolny 1895 wywołuje, jest korzystne i można nabrać przekonania, że nie ma najmniejszej potrzeby rewolucyonizować całego elementarnego szkolnictwa, a trzeba po prostu ujednostajnić zapomogę, jaką dotąd wyłącznie pobierają, bez żadnego wystarczającego powodu, szkoły państwowe. Gdy się rozciągnie taką finansową zapomogą na szkoły dobrowolne, co znaczy tutaj duchowne, będzie uczynionem zadość wszelkim wymaganiom sprawiedliwości i potrzebom społeczeństwa.

Przechodząc do statystycznych danych w raporcie zawartych, pierwszym pożądanym faktem jest przyrost dzieci do szkółek elementarnych uczęszczających. Na ludność Wielkiej Brytanii, wynoszącą 30 milionów, powinnoby być sześć milionów uczniów w szkółkach. Samo się przez się rozumie, że z wielu przyczyn, pomiędzy któremi najważniejszą jest oddalenie szkółek po wsiach, liczba ta jest o wiele mniejsza. Co rok jednak więcej dzieci uczęszcza do szkółek, co pokazuje, że lud zaczyna oceniać zbawienny wpływ i użyteczność oświaty. Co rok przybywa jakich 100.000 uczniów do szkółek. Ogólna liczba w ostatnim roku szkolnym była już 4.791.988. Można przewidzieć, że za dwa lata dójdzie do 5 milionów. Najbardziej zadawalającą stroną elementarnego szkolnictwa jest, iż coraz więcej starszych dzieci, pomiędzy 11ym a 18ym rokiem do szkółek uczęszcza. Rodzice zazwyczaj bardzo chętnie posyłają tam drobną dziatwę, trzyletną: szkółka służy im za ochronkę i zdejmuje z rodzicielskich barek ciężar nadzoru, ale natomiast niechętnie widzieli pozostawanie w szkole dzieci starszych, niż lat 10, gdyż one mogą już wtedy nieraz zarobkować. Fakt, że w r. ostatnim 270.000 dzieci starszych uczęszczało na wieczorne, wyższe kursa, dodatkowe, wskazuje, że oświata jest już uznana jako praktycznie uzdolniająca dziatwę.

Jest także uznania godnem, że wychowanie szkółkowe przybiera coraz bardziej nastrój praktyczny, mający zastosowanie w życiu. Nasłuchaliśmy się cierpkiej polemiki o fortepiany i o welocypedy rzekomo zakupywane dla tych szkółek; zamiast o nich, czytamy raporta o wykładach i o praktycznem nauczaniu dziewcząt kuchni, szycia i prania. Jeżeli się tego nauczą, dobrobyt warstw ubogich podniesie się szybko. Jest rzeczą niepojętą, jak mało kobiety klas zarobkujących umieją prowadzić gospodarstwo domowe. Zarabiając więcej niż na stałym lądzie, robotnik angielski żyje o wiele gorzej. Żona nie umie gotować, nie umie z igłą w ręku utrzymywać bielizny i ubrania. Nie dziwota więc, że robotnik ciągnie do szynku, nie znajdując pod własnym dachem komfortu, do którego wzdycha.

Raport rozszerza się nad dobrymi skutkami jakie wywarła nowa ustawa o dozorze inspektorów szkolnych, niespodzianie zachodzących do szkółek. Sanitarne i hygieniczne stosunki polepszyły się o wiele, a uczniowie tak samo jak nauczyciele czują, iż są członkami instytucyi, na którą władze rozciągają swą opiekę coraz czujniejszą. Część finansowa najżywiej tu zwróciła uwagę. Pokazuje się, że w szkołach duchowieństwa utrzymanie każdego ucznia kosztuje 38 szylingów, podczas gdy w szkołach państwowych kosztuje ono 50 szylingów. Reszta dokładana jest w pierwszych ze składek dobrowolnych i opłaty regularnej wynoszącej 6 szylingów od ucznia rocznie. Jeżeli skarb, jak jest nadzieja, zacznie płacić samy brakujące, szkółki kościelne uorganizowane będą lepiej. Samo się przez się rozumie, iż otrzymując od państwa fundusze, szkółki te będą musiały zgodzić się na rozciągnięcie nad sobą dozoru i kontroli rządu.

Od kwestyi edukacyjnej do zdrowotnej przejście łatwe. Żywe zajęcie budzi tu raport komisyi, która była ustanowioną przed siedmiu laty do rozpatrzenia sprawy szczepienia ospy.

Jak wiadomo, w Anglii szczepienie ospy miało i ma zawsze wielu nieprzejednanych wrogów. Uważane jest jako pogwałcenie osobistej swobody, a wstręt, jaki wielu Anglików czuje do wiwisekcyi, rozciąga się przez prawdziwą aberacyę umysłową do szczepienia ospy. Kto tylko może, wymyka się od szczepienia. Jako rezultat tej systematycznej opozycyi, jest, iż nie ma kraju, w którymby ospa panowała częściej i groźniej, gdzieby zabierała więcej ofiar niż w Anglii. Przed paru miesiącami w hrabstwie Gloucester epidemia ospy sprzątała po 277 osób tygodniowo Ale takie straty nie przekonały publiczności, która zasłania się argumentem, iż nawet ci, co mieli ospę raz szczepioną, ulegli epidemii i czasami nawet umierali. Logiczniejszym byłby wniosek, że należy szczepienie powtarzać w kilkoletnich terminach, ale z fanatyzmem niewykształconej masy nie tak łatwo sobie dać radę.

Komisya królewska potrzebowała aż lat siedmiu, aby dojść do praktycznego sformułowania linii wytycznej pod tym względem. Prezydował w niej lord Herschel i zasiadało kilka znakomitości medycznych jak Sir James Paget, profesor M. Foster i wielu innych. Ale pomimo długoletnich rozpraw nie doszli ci specyaliści do jednozgodnych wniosków i otrzymaliśmy dwa raporta zamiast jednego: większości i mniejszości. Większość doradza przedsięwzięcie rozległych hygienicznych środków dla uniknienia epidemii i zaleca nie tylko jednorazowe, ale powtórne szczepienie ospy. Mniejszość okazuje się sceptyczną co do tego zapobiegawczego środka i stara się ochronić od kar tych, którzy się od wykonania obowiązujących przepisów uchylają. Dr. Hutchinson i sir Guyer Humber żądają, ażeby rodzice, którzy odmawiają szczepić ospę swej dziatwie, powołani byli do złożenia przysięgi, iż czynią to jedynie z naukowych powodów: przysięga taka uwolni ich od kary! Gdy angielscy uczeni zaczną pleść brednie, to już plotą je na wielką skalę.

W pałacu kryształowym odbyła się olbrzymia uczta Stowarzyszeń spożywczych. Wzięło w niej udział przez swych delegatów nie mniej jak 1713 stowarzyszeń, liczących 1,414.158 członków i posiadających już obecnie kapitał 16 milionów funtów. Mieli prawo biesiadować i winszować sobie świetnego powodzenia materyalnego. Istotnie pojąć nie można, że tego rodzaju przykłady nie oddziaływają na inne społeczności. Zamiast kupować codziennie artykuły spożywcze i potrzeby nieodzowne w sklepach, gdzie płacą drogo i otrzymują lichy towar, ludzie ci kupują w swych własnych składach po cenach targowych, otrzymują dobrą miarę, wagę i artykuły wyśmienite i oprócz tego rok w rok pobierają dywidendę, która często całoroczny ich wydatek pokrywa! W Anglii na myśl już nikomu nie przychodzi zaprzeczać korzyści organizacyi stowarzyszeń spożywczych i można powiedzieć, że nie ma rodziny, którąby do nich w tej lub owej formie nie należała. Po tysiąc razy tego rodzaju cyfry i przykłady stawiane przed społecznościami stałego lądu nie zdają się wywierać wpływu i zachęcać ich do naśladownictwa. Widocznie sprężyna indywidualnej inicyatywy nie jest tak silna i tak giętką po jednej stronie kanału, jak po drugiej.

W kwestyi bankowej.

II. Zyski banku i udział w nich państwa.

Bank austro-węgierski ma prawo wypuszczać pieniądze papierowe. Wedle artykułu

---

1)

PASIERBY

Powieść na tle współczesnem

przez

Anatola Krzyżanowskiego.

Na niebie zielonawo-błękitnem, przejrzystem jak toń niezgłębiona, pierwsze jaśniejsze zapalały się blaski. Dzień, zmartwychwstający z wczorajszego uśpienia, budził się do życia z rozkosznym uśmiechem pogody. Szare też cienie nocy ustępowały kornie przed różowopalcą jutrzenką, która ukazawszy się tam, gdzie dotąd blada świeciła zorza, stroiła świat cały w coraz żywsze i coraz bogatsze barwy. Płaszcz jej — najpierw z różowej gazy, a dalej ze złota i purpury tkany — otuliwszy połowę nieboskłonu, odzwierciedlał się blaskiem świetlanym w kroplach rosy; zapalając zaś wśród nich dyamentowe iskry, bogactwem tem zdawał się poić spragnione usta trawy, drzew i kwiatów, które nektar ów ożywczy chciwie spijały.

W blaskach nieba i brylantowem świetle rosy, w purpurze, poprzedzającej złote promienie słońca, w tem przejrzystem a tak czystem powietrzu, że wszystko ostrzejszych nabierało w niem konturów, ziemia — zmęczona jeszcze wczoraj pracowitem swem życiem, dziś strojna w cechy młodzieńczego uroku — zdawała się zaróżowioną oblubienicą, stającą z uśmiechem wiary i nadziei wobec zagadki przyszłości, wobec obietnic szczęścia, jakie jej los gotuje.

Od jaśniejącej też czarem młodości i ułudy bił urok porywający i wszechpotężny, urok wiecznego życia i zmartwychwstania, tchnienie niespożyte natury, która zrzuciwszy kajdany martwoty zimowej, w upojeniu kwieciem okrywała swe czoło.

Blask jutrzenki, potężniejąc tymczasem, ogarniał łuną różową wierzchołki drzew, las szarzejący na widnoskłonie i błękitną taflę uśpionego jeziora. Przesuwając się zaś szybko, rzuciwszy aureolę na szczyty, a postrach na ciemności zalegające poniżej, rozkoszny paź boga-słońca pocałunkiem swym budził wszystko z uśpienia.

W szuwarach u brzegu wody mewy i dzikie kaczki, kurki, czaple i cała rzesza drobniejszego wodnego ptactwa poruszyła się na gniazdach. W konarach drzew zaświegotały hałaśliwe wróble, głusząc hejnał podniosły, jakim słowik brzask zorzy powitał. Hejnał ten jednak wzniósł się wyżej i zapanował dokoła tam, gdzie klomby starannie utrzymane otaczały dwór wykwintny, niewielki, ale piętrowy a czystością błyszczący.

Przejrzyste powietrze poranku uwydatniało doskonale zarysy tej eleganckiej, snać niedawno zbudowanej siedziby; blask zaś wstającej jutrzenki, skąpawszy ją w promieniach swych, odbijał się w dachu cynkowym i dużych kryształowych szybach pałacyku. Równocześnie, wśród ciszy panującej dokoła, zgrzytnął lekko klucz i z po za uchylonych drzwi frontowych wysunęła się wysmukła postać niewieścia. Zamknąwszy starannie za sobą podwoje, stanęła na progu ganku, a olśniona przepychem budzącej się przyrody, zachwycona grą barw na obłokach, zdawała się czaru chwili tej pełną używać piersią.

Wewnątrz domu wszystko jeszcze spało. Cisza też głęboka, uroczysta, cisza rozmodlonej natury otaczała ją zewsząd, a hejnał słowiczy jedyną tu był oznaką życia. Kobieta w hymn ten zasłuchana podniosła głowę, śledząc z zachwytem purpurowe, coraz ognistsze a złotem obramowane smugi na obłokach. Złoto owo nabierało w jej oczach barwy gorętszej, aż słoneczna źrenica dnia błysnęła równocześnie pierwszym promieniem, który nieznajomą przeczystem oblał światłem.

Uwydatniona w blasku jego postać dziewczęcia niezwykłym zajaśniała urokiem. Młodziutka była, a powab młodości tej porywającym bił od niej czarem. Otulona w jasną bluzę błękitną, spływającą jak grecka szata, w prostych fałdach ku ziemi, z wpół, sennem rozmarzeniem w przepysznych źrenicach z podniesioną lekko główką, z której długie, ciemne spływały sploty, z barwnym karminem ust, ożywcze pijących powietrze i gibkiemi zarysami kibici, w tym blasku magicznym powstającego słońca; zdawała się istnym posągiem młodocianej poezyi lub zachwycenia.

Ale posąg ten krwią tętnił i życiem, życiem tak potężnem, tak świeżem, iż zdawało się, promieniując dokoła, otaczać ją porywającą aureolą ułudy i powabu, prostoty i piękna.

Gorący pocałunek słońca zbudził ją wreszcie z bezwiednego rozmarzenia. Wyprostowała się, a oczy jej głębokie, w szafirze nieba dotąd utkwione, zwróciły się z kolei na wielkiego doga, który, podniósłszy się z przed progu, z chwilą wejścia pani, stał przy niej, zadowolony, iż rączkę bezwiednie o kark jego oparła.

Źrenice jej spotkały się ze wzrokiem psa, mądrym i poważnym, w niemem oczekiwaniu ku niej wzniesionym. Pochyliła się i pogłaskała go pieszczotliwie.

— Lord czekał na panią — mówiła zcicha. — Dobrze, piesku, dobrze; pójdziemy razem użyć ciszy i swobody.

Ujęła suknię jedną rączką, a nie zdejmując drugiej z głowy doga, leciuchno, na palcach, zeszła ze schodów werendy. Przesunąwszy się po cichu pod oknami i minąwszy klomb główny, zatrzymała się dopiero, obrzucając serdecznem wejrzeniem rodzinne swoje gniazdo.

— Jak tu ładnie — szepnęła. — Jakby tu mogło być dobrze.

Westchnęła i odwróciła się szybko.

— Nie, nie będę myśleć o tem. Chcę się orzeźwić spokojem, upoić samotnością. To nektar, który wzmacnia najsilniej.

I powietrzem ożywczem zarumieniona, ze źrenicami błyszczącemi zachwytem a pijącemi czar budzącej się przyrody, szła szybko, bez względu na rosę i powiew od jeziora idący.

Przebiegłszy brzegiem łąkę, zdala w złudny obłok wody spowitą a zbliska jaśniejącą żółtemi jaskrami, różowym tysiącznikiem i białym mrzygłodem, zanurzyła się śmiało w łan zboża, wązką ścieżką przecięty. Szmaragdowe kłosy pszenicy kwiatem, jak srebrnym pyłkiem, zlekka przysypane, z drugiej strony zaś, bledsze od nich, szarawe łodygi żyta, rosą zwilżone, chyliły się ku sobie w szepcie cichym. Kobieta szła wśród nich jak królowa tego świata przyrody, miłosnym obejmując go wzrokiem. A w spojrzeniu jej i w całej wysmukłej postaci, pierwszemi blaskami słońca oblanej, znać było, że nie mierzy ona pól tych okiem znawcy, że nie bogactwo ich, nie wartość realna, lecz poezya, głęboko odczuta, rozpromienia jej lica tym wyrazem rozradowania i ukojenia, tą zadumą marzącą, która odrazu część duszy jej malowała.

Zatrzymywała się, wsłuchana w odgłosy budzącej się przyrody, dla innych banalne i niezrozumiałe może. Dla niej jednak poryk pędzonego w oddali bydła, nawoływania przepiórki i brzęk świerszcza, ukrytego przy miedzy, jednoczyły się wraz z szumem zboża i powiewem wiatru w koncert, pełen podniosłej prostoty. Poczuła potrzebę ruchu, potrzebę ujawnienia przejmujących ją wrażeń i okazania ich w jakimś wybuchu radosnym.

Korzystając też z żywszego skoku doga, pobiegła z nim na wyścigi, jak dziecko wypuszczone na wolność. Trwało to jednak chwilę tylko. Zarumieniona, zatrzymała się niebawem, a tuląc ciemną swą główkę do lśniącej szyi zwierzęcia, mówiła pieszczotliwie:

— Dobry Lord, kochany Lord! Bez Lorda pani bałaby się chodzić tak sama.

W tej chwili weszli na skraj lasu, którego głębia nęciła tajemnym urokiem, pełnym jakichś szeptów niepochwytnych i niezrozumiałych. Dziewczę, świadome snać drogi, szło śmiało, skąpane w fantastycznych, przez konary padających promieniach słońca, spowite ruchliwym, przez gałęzie rzucanym cieniem, otoczone całym wspaniałym a potężnym czarem, jaki głusza leśna w godzinie tej posiada.

Był to snać cel jej wycieczki. Doszedłszy bowiem do niedużej polanki, wśród której stał klon wyniosły, osunęła się na pień ścięty u jego podnóża. Opuszczając zaś na drobne nóżki bluzę błękitną, starannie od rosy chronioną, oparła się o konar drzewa i obie rączki nad głowę zarzuciła.

(Ciąg dalszy nastąpi).

84 statutu bankowego, bank w emisyi tej jest o tyle tylko ograniczony, że dwie piąte obiegających banknotów pokryte być mają srebrem lub złotem, a za resztę znajdować się muszą w posiadaniu banku weksle krajowe, lub zagraniczne, albo kruszec i walory wzięte w zastaw. Pieniędze papierowe wypuszczone przez bank mają wartość pełną i przyjmowane być muszą we wszystkich kasach publicznych (o ile zapłata srebrem lub złotem nie jest umówioną lub ustawą przewidzianą; art. 86).

Bank posiada przeto przywilej, będący w regule prerogatywą rządu, przywilej wypuszczania pieniędzy. O ile ten przywilej przyczynia się do powiększenia obrotów i zysków banku, o tyle państwo uprawnione jest do wzięcia udziału w tych zyskach.

Bank może wydawać 200 milionów zł. w banknotach po (najmniej) 10 zł., po 100 i po 1000 zł. nad zasoby kruszczowe — bez wszelkiego wynagrodzenia na rzecz państwa z samego obiegu tych banknotów. Dopiero od banknotów obiegających powyżej tej granicy bank opłacać musi 5 prot. podatku obu rządom (w stosunku 7:3). Bank ogłasza 7-ego, 15-ego, 23-go i ostatniego każdego miesiąca sprawozdanie, w którem podaje stan gotówki i obieg banknotów. Jeśli w jednym z tych okresów (n. p. między ostatnim dniem jednego miesiąca a siódmym następnego, między 7mym a 15tym, między 15tym a 23im, między 23im a ostatnim) obieg banknotów przekroczył granicę wolnej od podatku sumy, to za jeden taki okres i od sumy nad dwieście milionów obiegającej płaci bank $^{5}/_{48}$ prot. (t. j. czterdziesto-ósmą część podatku za cały rok przypadającego, bo rok sprawozdawczy na 48 podzielono części).

Podatek ten 5 prot. nie ma jednak znaczenia finansowego dochodu dla państwa. Chodziło po prostu o to, aby bankowi utrudnić wydawanie banknotów bez potrzeby nagłej. Gdyby bank nie opłacał podatku, to pobierając procent 4—6 od każdego pożyczonego na weksel, zastaw i t. d. banknotu, miałby interes w zasypaniu targu pieniędzmi niepokrytymi aż do dozwolonej w ogóle granicy t. j. do sumy 2 i pół krotnej swych zasobów kruszczowych. Na to państwo zgodzić się nie może. Wytworzyłaby się niebezpieczna łatwość kredytu, łatwość, ugruntowana nie na zasobach banku, ale na jego wyłącznym przywileju. W razie wielkich strat w handlu i produkcyi, po złych żniwach, po nadmiernej spekulacyi, w chwilach przesileń w jakiejś wielkiej gałęzi przemysłu (np. w cukrownictwie, fabrykacyi żelaza, przędzalniach) run na bank stałby się nieuchronnym i przyjść mogłoby do ciężkich zawikłań i ogólnego upadku kredytu.

Jeśli więc na bank nakłada się podatek 5 prot. od banknotów wyżej pewnej granicy obiegających, nie ma już ten bank kupieckiego interesu w ułatwianiu pożyczek. Chcąc coś zarobić, musi stopę procentową podwyższyć na $5^{1}/_{2}$ prot. lub 6 prot., a tem samem utrudnia kredyt. Jakoż w ciągu ostatnich lat pięciu, przeciętnie za rok cały licząc, podatek wynosił tylko 52 200 zł., czyli że obiegało tylko 1,044 000 zł. w opodatkowanych banknotach.

Jednak zyski banku, choć ograniczonego w ten sposób w emisyi banknotów, były bardzo wielkie. Bank ma oddział hipoteczny, który za ostatnich lat 5 przynosił rocznie zysk przeciętny 1,092.000. zł.; eskontuje weksle, lombarduje papiery, skupuje dewizy, przyjmuje depozyta.

Wszystkie te gałęzie interesu zmalałyby oczywiście, gdyby bank austro-węgierski prowadzić je mógł tylko własnym kapitałem lub pożyczanym nawet wedle miary kredytu banków prywatnych. Bank austro-węgierski posiada 90 milionów reńskich w akcyach i 19 milionów reńskich w funduszu rezerwowym. To jego cały kapitał. W sprawozdaniach banku czytamy wprawdzie, że fundusz rezerwowy wynosi 34,457.000, ale jest to pozycya ze względu na pretensye rządu wątpliwa. Bank kupował bowiem, licząc na reformę waluty, dewizy i złoto i do 10 września 1892 obliczał te zapasy swoje wedle relacyi dawnej $1:15^{1}/_{2}$. Kiedy wartość złota, po przyjęciu ustaw o walucie, podskoczyła o 19 prot., zasoby tego kruszczu, nagromadzone w banku w kwocie $79^{1}/_{2}$ miliona, wstawić chciano do rachunku jako sumę większą o cały zysk z wyższej relacyi t. j. o 13,525.000 złr.

Oba rządy wystosowały wtedy (dnia 25 i 24 kwietnia 1892) noty po części równobrzmiące, w których żądały, aby bank zysk ten z relacyi wpisał do rubryki „fundusz rezerwowy“ i zobowiązał się nie wliczać go do pokrycia metalowego swoich not“. Zarazem dość nieszczęśliwym zwrotem przyznali obaj ministrowie skarbu (Steinbach i Wekerle), że bank zastrzedz sobie może swoją wyłączną i nieograczoną własność o b e c n i e posiadanych a w przyszłości jakkolwiekbądź oszacowanych zapasów złota i dewiz. Tym zwrotem zaszkodzili właściwie pretensyom rządów do zysku banku, wynikającego z wyższego obliczenia zapasów. W sporze, który potem prowadzono w pismach o pozycyę $13^{1}/_{2}$ mil. złr. bank nadto — i dość słusznie — powoływał się na to, że zysk ze wzrostu samego majątku nie jest żadnym dochodem i nie może w tym wypadku ulegać żadnym podziałom na korzyść rządu. Ale bądź co bądź istnieją pretensye co do tej rubryki 34 457.000 — i na razie uznać można tylko jako kapitał banku kwotę 109 milionów (90 mil. w akcyach 19 mil. funduszu rezerwowego) t. j. kapitał ten sam mniej więcej, co przed czterema laty.

Otóż bank z takim kapitałem z pewnością nie mógłby dyskontować za 219·5 mil. weksli i lombardować papierów za 46·274 mil. złr. (jak z końcem 1895), że o innych interesach nie wspomniemy nawet. Wszystko co bank przedsiębierze na miarę dzisiejszą, czynić może tylko dzięki emisyi banknotów, dzięki przywilejowi swojemu. Kapitał jego jest tylko rękojmią dla wierzycieli, a nie środkiem właściwym jego czynności.

Państwo więc za tak cenny przywilej może żądać pewnego wynagrodzenia. Pytamy zatem: jakiego?

Na to krótko odpowiedzieć można. Akcyonaryusz tyle dla siebie żądać może pewnych dochodów, ile przynosi papier bardzo dobrze ufundowany i jak najmniejszym ulegający wahaniom — a więc wśród dzisiejszych warunków kredytu — 4—$4^{1}/_{2}$ pct. Co bank nadto zarabia, to zarabia dzięki przywilejowi otrzymanemu od państwa, a więc co najmniej tym zarobkiem dzielić się musi z rządem do połowy.

Możnaby dla rządu więcej nawet wymagać, niż połowy zysków nad 4—$4^{1}/_{2}$ pct. Choć bowiem banki prywatne zarabiają 7, 8 procent i nieraz jeszcze więcej od kapitału, jednak ten dochód nigdy nie jest pewnym i same akcye bywają narażone na straty w swej wartości skutkiem konieczności szukania interesów. Bank zaś uprzywilejowany zarabia bez najmniejszego ryzyka; zarabia już dlatego, że wydaje weksle (banknoty), za które procentów nie płaci, że reguluje obieg pieniędzy i stopę procentową, a targowi przypisuje niejako, ile mu on ma płacić zysku.

Dlatego to w Niemczech przy odnowieniu przywileju bankowego tak ciężkie miał bank przeprawy, zanim zgodzono się odstąpić mu $3^{1}/_{2}$ pct. z dochodów. Tam obniżyć chciano dochód banku na 3 pct. a w Austro-Węgrzech równocześnie akcyonaryusz banku otrzymywał 7 pct. W Niemczech też z zysków wyżej $3^{1}/_{2}$ pct. aż do roku 1893 jedną piątą część składano do funduszu rezerwowego, zanim on nie doszedł do wysokości 30 milionów marek tj. jednej czwartej kapitału akcyjnego, a z tego funduszu rezerwowego połowa po zniesieniu przywileju bankowego stanowi własność państwa. Teraz w Niemczech owe zasilanie funduszu rezerwowego ustało, a państwo otrzymuje połowę zysków wyżej $3^{1}/_{2}$—6 pct. i trzy czwarte zysku wyżej 6 pct.

Tak broni państwo niemieckie swoich praw. W Austro-Węgrzech, gdzie stopa procentowa jest wyższa, oznaczyć musianoby granicę, przy której poczyna się udział w zyskach banku dla państwa na 4 pct.

Bank austro-węgierski ma jednak bardzo wiele do zarzucenia takiemu okrojeniu jego zysków. Przedewszystkiem powołuje się na to, że Austrya zaciągnęła dług bezprocentowy 80 milionów, którego wartość dla państwa ocenia naoczną kwotę 3 milionów. Te więc trzy miliony, zaoszczędzone przez państwo na procentach od długu, są zdaniem banku dostateczną ceną przywileju. Kwestya tego długu we wszystkich ponawia się rokowaniach i jest o tyle ważną, że trzeba się nad nią zastanowić nieco obszerniej. Uczynię to w następnym artykule.

Szkice z Czarnogóry.

Cetynia. — Polowanie dworskie. — Rodzina Petrowiczów.

Z barwnych sprawozdań, bawiącego od dwóch tygodni w Cetynii współredaktora medyolańskiego *Corriere della Sera*, Adolfa Rossiego, wsławionego swemi korespondencyami z Abisynii, wyjmujemy kilka ciekawych szkiców o Czarnogórze:

Cetynia sprawia wrażenie miasta bardzo czystego, którego małe domy, ustawione wzdłuż równoległych ulic, zostały wybudowane w ostatnich latach. Doskonale rozumiem dlaczego tutaj wszyscy, począwszy od księcia, zachowują malowniczy strój narodowy. Wielce się ubawiłem, fotografując najprzystojniejszych mężczyzn, niewiasty na targu, chłopców, fasady domów, kramy i ciekawe widoki... Ale pomówimy o zabudowaniach.

Rezydencya księcia stoi po lewej stronie ulicy, którą w środku przecina dwie ulice równoległe. Jest to gmach przestronny, otoczony ogrodem i murem, podobny do bogatej willi letniej. Do gmachu wiodą podwójne schody, na których szczycie stoi kilku oficerów gwardyi. Na końcu ulicy obok zgrabnej kaplicy greckiej stoi stara jodła, w której cieniu książę czasem rozstrzyga sprawy sporne, siadając na kamiennej ławie, która otacza pień drzewa.

Po prawej stronie ulicy, po za murem, którego rogi zdobią wieżyczki, wznosi się wielkie czerwone zabudowanie, tak zwany „Bilard“, dawna rezydencya ks. Daniła, wystawiona niegdyś przez władykę Piotra II, gdzie obecnie są umieszczone wszystkie wyższe szkoły, biura ministrów i administracyi krajowej. Nazwę swą gmach ten zawdzięcza następującej okoliczności: Dnia pewnego ks. Daniło zapragnął wzbogacić swą rezydencyę bilardem. Aby ten ciężki sprzęt po starej drodze kóz sprowadzić z Kotaru do Cetynii, potrzeba było 50 ludzi, t. j. 50 tych Herkulesów, których dostarcza Czarnogóra. Fakt, że bilard bez uszkodzenia przybył do stolicy, wydawał się tak nadzwyczajnym, że jego nazwę nadano gmachowi, w którym go umieszczono. Na parterze w dwóch czy trzech salach przechowują się chorągwie i inne trofea, zdobyte w odwiecznych wojnach na Turkach.

Na prawo „Bilardu“, u podnóża góry, stoi stary klasztor Matki Boskiej, który dawnym władykom przed Daniłem służył jako rezydencya. Dziś tam jeszcze mieszka metropolita, druga po księciu osoba w kraju. Klasztor składa się z przestronnego parterowego gmachu, przytykającego do skał i otoczonego murem o wieżach na rogach. Za gmachem na terasach góry mnichy założyli ogród. Na wierzchołku góry sterczą ruiny wieży, sławnej w dziejach Czarnogóry pod nazwą „wieży Turków“: tam bowiem wystawiano głowy, ucięte Turkom w bitwie. Barbarzyński ten zwyczaj zniósł dopiero Daniło. (Notabene mieliśmy sposobność rozmawiać z starszemi wybitnemi osobami, które, zawitawszy do Czarnogóry, pod tą wieżą z ową ohydną dekoracyą uciętych głów, bywały goszczone przez ks. Daniła. Przyp. tłómacza). Na drugim jeszcze wyższym wierzchołku góry, stawiają obecnie pomnik ks. Danile.

Na końcu dłuższej z dwóch równoległych ulic, przy placu, znajduje się poczta i „oberża cetyńska“. W pobliżu, otoczony żelaznym płotem, wznosi się wykwintny pałacyk następcy tronu, w którym teraz mieszka książę neapolitański. Następca tronu Daniło, który niedawno reprezentował dwór swój w Rzymie na uroczystościach srebrnego wesela naszej pary królewskiej, jest młodzieńcem wysmukłym, delikatnym, o czarnym wąsiku, wcale niepodobnym do swego okazałego ojca.

* * *

Ponieważ stan zdrowia księcia Mirka znacznie się polepszał, ks. Mikołaj dziś podczas obiadu zaproponował ks. neapolitańskiemu wycieczkę na polowanie w malowniczej dolinie Rieki. Propozycya ta została przyjęta z radością i postanowiono, że także księżniczka Helena i księżna Milena (matka), tudzież książęta Daniło i Piotr wezmą udział w wycieczce.

Właśnie dziś po obiedzie, dzięki uprzejmości naszego posła margrabiego Bianchi, miałem dostąpić posłuchania u ks. Mikołaja i ks. neapolitańskiego. Szedłem więc po obiedzie do margr. Bianchi, kiedy nagle ujrzałem go śpieszącego do mnie.

— Czy pan wiesz — rzekł do mnie — postanowili nagle wyjechać na polowanie, posłuchania więc muszą być odłożone. Ale ks. Mikołaj, przypuszczając, że pan chętnie weźmie udział w podobnej wycieczce, pozwala, abyś towarzyszył polującym i oddaje ci do dyspozycyi powóz, oraz przewodnika.

— Zawstydza mnie tyle łaski, — odrzekłem.

Niebawem przed pałacem spotkałem ks. neapolitańskiego. Przedstawienie odbyło się bez wszelkiej ceremonii i w kilka minut potem znalazłem się w orszaku książęcym. Zabawną tylko było rzeczą, że wskutek nagłej zmiany programu, na polowanie jechałem we fraku. Nie starczyło bowiem czasu, aby powrócić do oberży i przebrać się. Na szczęście miałem paletot, którym mogłem okryć ubiór tak mało przystawający do okoliczności.

Tak więc w ślad powozów książąt i księżen, przebyłem romantyczną drogę i dostałem się do lasu. Ustawiwszy polujących, ks. Mikołaj, zwróciwszy się do mnie rzekł:

— Pan jeździsz konno?

— Oui, Monseigneur.

— A więc proszę za mną, staniemy na dobrem miejscu, skąd będzie widać całą scenę.

Przebywszy różne ścieżki wśród krzaków, ks. Mikołaj zsiadł z konia, kazał sobie podać flintę i stanął na pagórku, z którego było widać całą dolinę, gdzie się znajdowały księżne z ks. neapolitańskim.

— Rzecz szczególna, — zauważyłem, — poseł włoski miał mnie przedstawić W. ks. Mości, gdy została zdecydowana wycieczka.

— Tak, tak — odrzekł książę, podając mi cygaretkę, i to ruchem ręki, który znaczył: nie robimy tu ceremonii. Potem dodał: — Pan jesteś Włochem, to wystarcza. Zawsze lubiałem Włochów, a teraz ich lubię jeszcze więcej.

Potem cichym głosem, ponieważ należało baczyć na zwierzynę, wypytywał się o dziennik, do którego piszę, jak długo zamierzam zabawić w Czarnogórze itd.

— W pobliżu Nikszycu — dodał — mam zwierzyniec rozleglejszy, w którym znajdują się niedźwiedzie, wilki i inne zwierzęta. Jeżeli, jak się spodziewam, stan zdrowia Mirka jeszcze się polepszy, zamierzam udać się tam z ks. neapolitańskim i zapraszam pana na tę wycieczkę.

Potem mówił o swych dzieciach, które ubóstwia.

— Mirko — rzekł — lubi muzykę..

— A księżniczka Helena sztuki piękne...

— Tak, rysuje z zamiłowaniem.

— Nie będzie jej więc źle w kraju, tak bogatym w zabytki artystyczne, jak Włochy.

— A z pewnością. Szczególnem jest to zamiłowanie, które zawsze czułem dla waszego kraju. Rzekłbym, że jakieś przeczucie wróżyło mi ściślejsze związki z Włochami.

Książę potem rozmawiał ze mną familiarnie, to po francusku, to po włosku, zna bowiem doskonale nasz język, ponieważ za młodu rozpoczął swe studya w Tryeście.

Dotykając ostatnich wypadków w Afryce, książę zauważył:

— Jestem przekonany, że żaden inny naród nie miał tyle współczucia dla katastrofy pod Adową, jak Czarnogórcy. Ilużto moich oficerów i żołnierzy pragnęło stanąć w walce przy waszym boku na górach abisyńskich (??).

— Wiem, że wielu oficerów czarnogórskich, zwłaszcza tacy, którzy odbywali studya we Włoszech, żądało pozwolenia walczenia w naszych szeregach. Był to zapał, który dowodzi szlachetności waszego serca. Na górach abisyńskich Czarnogórcy byliby cennymi sprzymierzeńcami.

— A zaiste, do walki w górach są bardzo zdatni. Z wierzchołków tych tu gór zawsze broniliśmy naszej niepodległości i właśnie te góry nas ocaliły.

Tu rozmowę przerwało nadejście górskiej kozy, do której książę strzelił z pewnością młodzieńczą.

— W. ks. Mość, zauważyłem, zachowuje prawdziwie zadziwiające zdrowie i czerstwość.

— Nie zawsze, niestety — odparł — ale o moje dolegliwości nie dbam, natomiast ciężką chorobę przebyła moja żona Milena.

— Słyszałem o tem i wiem, jak wtedy mocno boleli Czarnogórcy: to naród zacny i przywiązany do rodziny swego księcia.

— Są to ich wrodzone przymioty, nie moja w tem zasługa.

— Książę tak mówi, ale Czarnogórcy zapewniają przeciwnie, że, jeżeli ich kraj jest szczęśliwy i rozwija się, zawdzięcza to głównie ojcowskiej troskliwości W. ks. Mości. Zresztą jest faktem, że postępy, dokonane w ostatnich latach pod względem dróg, szkół, praw itd. zawdzięczają wyłącznie W. ks. Mości. Dowodu zaś szczególnej gościnności W. ks. Mości doczekałem się sam, skoro się znajduję na tem miejscu.

Istotnie sytuacya moja była niezwykła. Siedząc na kamieniu obok księcia przed romantycznemi skałami, rozmawiałem z nim, jak gdybyśmy się znali od dawna, i spoglądałem na jego sympatyczną postać. Spostrzegłszy z daleka najmłodszego swego syna Piotra, zgrabnego chłopczyka o wielkich, czarnych oczach, kazał adiutantowi przyprowadzić go i usadził go na swych kolanach. Ten olbrzymiej postaci książę Mikołaj, trzymając w prawej ręce flintę, a lewą głaskając pięknego chłopczyka, tworzyli grupę niezmiernie uroczą. Obaj byli w malowniczym stroju czarnogórskim.

Pomiędzy różnemi wystrzałami, ks. Mikołaj jeszcze mówił mi dużo o Włoszech, nadmieniając, że w dzień pogodny z góry Lowczenu widać brzeg Włoch.

— Byliśmy zawsze dobrymi sąsiadami — rzekł z intencyą, która zdawała się chcieć dodać: I rzecz naturalna, że wchodzimy w związki pokrewieństwa.

Po polowaniu, książę zaprosił mnie na podwieczorek, przygotowany w pałacyku Rieki. Księżniczka Helena zasiadła do stołu pomiędzy ks. neapolitańskim i księżną Mileną, ks. Mikołaj pomiędzy ks. neapolitańskim a ks. Daniełem. Obecni byli jeszcze major Vigano, kapitan Merli, poseł rosyjski i prezes gabinetu sławny wojownik Pozo Petrowicz.

— *Comment, vous êtes en frak?* — rzekła do mnie księżna Milena, my niewiasty nie lubimy panów w gali.

— A mają racyę, księżno, odrzekłem śmiejąc się głośno. Jest to wypadek wyjątkowy.

Aby uczestniczyć w tak przyjemnej wycieczce, która na zawsze pozostanie w moich wspomnieniach, byłbym zniósł jeszcze większe niedogodności, jak frak.

Mówiąc w nawiasie, w dolinie Rieki znajduje się stary klasztor, do którego w 11-tem stuleciu schronili się władyczanie czarnogórscy przed Turkami, i stąd dopiero później przenieśli się do Cetynii, mniej narażonej na najazdy. Rzecz uwagi godna: Rieka w XIV stuleciu posiadała drukarnię słowiańską, w której wydano obok innych książek, kosztowny mszał, zachowany do dnia dzisiejszego.

* * *

Tegoż wieczora, zaproszony na kolacyę dworską, w której oprócz innych dygnitarzy uczestniczyli jenerał Ferzaghi, minister spraw zagranicznych Wukowin, poseł włoski margrabia Bianchi, widziałem kilka sal pałacu, których ściany zdobią przepyszne obrazy olejne cesarskiej rodziny rosyjskiej tudzież antenatów rodu Petrowiczów.

I znowu miałem sposobność rozmawiać z ks. Mikołajem; gdy rozmowa dotknęła spraw dziennikarskich, książę wyraził się z wielkiem uznaniem dla korespondenta „*Timesu*“ Stillmana, który tutaj przebywał w czasie ostatniej wojny i bezstronnością swych sprawozdań pozostawił tutaj najlepsze wspomnienie.

W sali do palenia cygar książę siedział obok Piotra Wukoticza, ojca księżnej Mileny. Starzec ten olbrzymiej postawy, najbardziej po księciu lubiany w kraju, obdarzony przydomkiem czarnogórskiego Odysseusza, wsławił się w bitwie pod Dugą, gdzie złożył dowody rzadkiej odwagi. W latach 1873 i 1878 odznaczył się w Hercegowinie jako dowódca północnej armii czarnogórskiej. Mówi tylko po serbsku i zwykle przebywa daleko od dworu.

Niechaj teraz czytelnik obok tego starego i słusznego wojaka wyobrazi sobie takiego drugiego olbrzyma, jakim jest ks. Mikołaj, nie mniej dzielny wojownik a przy tem poeta i literat niepospolitych zdolności, z którego szlachetnej twarzy przemawia szczerość i dobroć. Wyglądali oni jak dwa portrety, wyjęte z obrazu Rembrandta, obok których dziwaczną anomalię tworzyły czarne ubiory kilku zagranicznych gości.

Jak w rodzie Petrowiczów mężczyźni odznaczają się męstwem, tak niewiasty w najwyższym stopniu posiadają cnoty rodzinne, skromność, prostotę, szczere przywiązanie do swych mężów. Niedawno temu lekarze, którzy leczyli męża księżniczki Milicy, oświadczyli, że bez jej wytrwałego poświęcenia, wszelkie ich starania byłyby pozostały daremne. Te same przymioty posiada księżniczka Helena. Wiem w tej mierze szczegóły, których ogłaszać zabrania mi dyskrecya. Ale czytelnicy, którzy wiedzą, że nie łatwo dowierzam plotkom dworskim, uwierzą mi na słowo. Krótko mówiąc: wybór księcia neapolitańskiego nie mógł być szczęśliwszym pod wszystkiemi względami.

Z izby sądowej.

(*Proces Pniaczka-Kalinowskiego.*)

Lwów 6 września.

Epilog głośnej niedawno sprawy defraudacyi 22.518 zł. popełnionej na szkodę lwowskiej filii Krakowskiego Tow. ubezpieczeń, rozegrał się wczoraj przed kratkami sądowemi. Jako oskarżony stanął Franciszek Pniaczek, który przywłaszczył sobie lepiej brzmiące nazwisko „Kalinowski“, i pod niem przez blisko 20 lat był urzędnikiem krakowskiego Tow. ubezpieczeń. Długi, słaby charakter, a najbardziej niedbałość tych, do których należy kontrola, popchnęły Pniaczka na drogę do kryminału. Będąc jeszcze administratorem kamienicy należącej do Towarzystwa wzajemnego kredytu, rozpoczął malwersacye, które kontynuował później, obracając weksle asekuracyjne na pokrycie swych długów i potrzeby domu. Mając 1300 zł. dochodu rocznego, wydawał po 3600 zł., nie dziw więc, że defraudowane sumy urosły do 22 000 zł. Defraudacye ułatwił mu, jak wyżej powiedziano, brak kontroli, który mu pozwalał, fałszywymi zapiskami w księgach, pokrywać własne niedobory. Te manipulacye Pniaczka trwały przez lat ośm, aż dopiero, kiedy 2 czerwca br. z powodu przeznaczenia go do innego biura miał Pniaczek oddać znajdujące się u niego w przechowaniu weksle, napisał on list do sekretarza Towarzystwa p. Krasuckiego, w którym się przyznał do sprzeniewierzenia. To przyznanie się jego ułatwiło śledztwo.

Wczorajszej rozprawie przewodniczył p. radca Hayderer, jako wotanci zasiadali pp. radcy Chyliński, Dzierzyński i Nitarski, oskarżenie wnosił prokurator Gołkowski, zaś bronił adwokat dr. Sumper. Pniaczek przyznał się na rozprawie do wszystkiego; usprawiedliwiał się długami, chorobą pierwszej żony, która go wiele kosztowała znacznemi wydatkami na rodzinę jego, składającą się z 10 głów, wreszcie i tem, że miał łatwą sposobność do defraudowania.

Bardzo mu się źle powodziło, gdy los zrządził, że śp. Gross oddał mu w administracyę kamienicę Tow. wz. kredytu, która przynosiła 900 złr. dochodu miesięcznie. Kiedy po miesiącu chciał złożyć rachunki, śp. Gross nie chciał nawet spojrzeć na nie, po drugim miesiącu powtórzyło się to znowu, postanowił więc rachunki raz na rok składać, a z dochodów tej kamienicy zaczął sobie pieniądze pożyczać. Z końcem pierwszego roku brakowało mu już przeszło 1 600 złr., suma ta rosła, przemyśliwał więc nad sposobem pokrycia deficytu. Razu pewnego wykupił jakiś klient weksel asekuracyjny i złożył pieniądze w ręce Pniaczka. Wtedy przyszło mu na myśl, że temi pieniędzmi i następnemi, które do rąk jego płynęły z tegoż źródła, może manipulować, łatając swój domowy budżet. Było to dlań tem pilniejsze, że właśnie wówczas sprzedano kamienicę, którą on administrował. Więc niedobór administracyjny pokrył Pniaczek pieniędzmi pobranymi za weksle. Ułatwiało mu defraudacyę to, że przez cały czas, w którym administrował kamienicą, nikt do książki kasowej nie zajrzał.

Z zeznań przesłuchanych podczas rozprawy świadków, sekretarza towarzystwa ubezpieczeń p. Krasuckiego i buchaltera Łonickiego, odniosło się wrażenie, że kontrola kasowa w instytucyi, w której Pniaczek służył, jakby wcale nie istniała, na dwa dni bowiem przed przyznaniem się Pniaczka, dwie komisye szkontrujące badały księgi i znalazły „wszystko w porządku“.

Wielce charakterystycznym jest jeszcze fakt, że po przyznaniu się Pniaczka, wysłał p. Krasucki do niego buchaltera p. Łonickiego, ażeby go prosił „jako kolegę“, o wykazanie wysokości zdefraudowanej kwoty.

O godzinie 9 wieczorem zapadł wyrok skazujący Pniaczka na rok ciężkiego więzienia, obostrzonego postem co dwa tygodnie i na zwrot Towarzystwu zdefraudowanej kwoty.

Dr. Sumper, którego obrona była świetną, wniósł rekurs przeciw wymiarowi kary i wysokości odszkodowania. Jednak Pniaczek oświadczył, że zaraz pragnie odpokutować i prosił o odesłanie go do więzienia.

* * *

Kraków 4 września.

(*Kradzież dziecka*).

Przed tut. sądem przysięgłych toczyła się dzisiaj rozprawa, budząca ogólne zainteresowanie. Jako oskarżona stawała przed sądem żebraczka nazwiskiem Tekla Zelek, znana z opilstwa i kilkakrotnie już karana za kradzież. Tym razem zarzuca jej akt oskarżenia kradzież dziecka, aby ono płaczem swym wyłudzało pieniądze. Rzecz się tak miała: Dnia 29 kwietnia b. r. pomiędzy godz. 1 a 2 po południu porwała Zelkowa bawiącą się w sieni domu przy ul. św. Tomasza czteroletnią córeczkę p. Jana Limanowskiego, stolarza i uciekła z nią szybko ku Rynkowi Głównemu. Matka porwanej dziewczynki pobiegła natychmiast w ślad za żebraczką, lecz dogonić jej nie mogła i dopiero po długich poszukiwaniach znalazła ją siedzącą pod kościołem św. Barbary i trzymającą na ręku porwaną dziewczynkę, której główka owinięta była szmatą dla uniemożliwienia rodzicom odnalezienia zguby. Pani Limanowska, poznawszy swe dziecko, pragnęła je odebrać, atoli żebraczka nie chciała jej go oddać, twierdząc, że to jej dziecko. Sprowadzono policyanta, pomysłowa atoli amatorka cudzych dzieci zaczęła udawać wielką chorobę, tak że policyant zawezwał pogotowie ratunkowe. Gdy się okazało, że choroba jest udaną, odwieziono Teklę Zelek do aresztów policyjnych, a prokuratorya państwa oskarżyła ją o zbrodnię gwałtu publicznego.

Po przeprowadzonej rozprawie, podczas której dziadówka tłómaczyła się, że była kompletnie pijana — który to dowód zupełnie jej się nie udał — ława przysięgłych pod przewodnictwem p. L. Turnana 12 głosami orzekła winę, wykluczając 11 głosami stan opilstwa. Na mocy tego werdyktu trybunał na wniosek prokuratora dra Bujaka skazał Teklę Zelek na półtora roku ciężkiego więzienia.

KRONIKA.

Lwów 7 września.

Cesarz w Galicyi. W piątek skończyły się manewry kawaleryi między Romanówką a Podhajczykami. Cesarz wrócił z manewrów o godzinie 12, witany z entuzyazmem po drodze przez ludność. Przed odjazdem z Chłop polecił Cesarz zaprosić na obiad starostę rudeckiego p. Świtalskiego, naczelnika sądu w Komarnie p. Zukotyńskiego, burmistrza miasta Komarna dra Jaklińskiego, proboszczów obu obrządków ks. Frydla i ks. Metyka, oraz poborcę podatkowego p. Soję.

W sobotę rano odbyły się końcowe manewry w okolicy Chliszewic. Cesarz wyjechał na nie o godzinie pół do ósmej w towarzystwie całej świty. Ludność zebrała się po drogach nader licznie i z zapałem witała Monarchę.

Wśród prześlicznej pogody nastąpił o godzinie pół do czwartej wyjazd Cesarza do Gródka, skąd pociągiem dworskim udał się do Mościsk. Na dworcu w Mościskach powitali Cesarza przedstawiciele władz powiatowych, poczem powozem odjechał Cesarz do kwatery głównej naczelnego kierownictwa manewrów w Krysowicach, gdzie zamieszkał w pałacu hr. Stadnickiego.

W Mościskach wzniesiono trzy wspaniałe bramy tryumfalne. Dworzec udekorowany flagami i tarczami, ślicznie się przedstawiał. Cała dekoracya dworca w Mościskach jakoteż i poprzednia dekoracya dworca w Gródku, obie skromne, ale bardzo gustowne, przynoszą chlubę technikom kolei Karola Ludwika. Dokonane one zostały podług pomysłu nadinżyniera przy dyrekcyi lwowskiej p. Wysockiego przez naczelników miejscowych sekcyi inżynierskich. Dobry smak, z jakim udekorowano oba dworce, zwracał powszechną uwagę. Drogę wiodącą z dworca do Krysowic, przyozdobiono masztami, z których powiewają flagi o barwach narodowych i państwowych.

Nowy prezydent miasta dr. Godzimierz Małachowski, którego wybór Cesarz już zatwierdził, złoży przysięgę w ręce pana Namiestnika w najbliższy czwartek, o godzinie 12 w południe.

Mianowania. Namiestnik zamianował lekarzy powiatowych: dr. Jana Opieńskiego w Żółkwi i dr. Waleryana Momidłowskiego w Tarnobrzegu lekarzami pow. w IX kl. rangi: asystentów sanitarnych: dr. Franciszka Żukotyńskiego w Stanisławowie, dr. Erazma Krzyszkowskiego w Jaśle, dr. Karola Iwańskiego w Skałacie i dr. Juliana Borego w Bohorodczanach koncepistami sanitarnymi w X. klasie rangi, wreszcie lekarza miejskiego w Glinianach, dr. Cyryla Dolnickiego asystentem sanitarnym, przydzielając go do służby w starostwie w Drohobyczu.

Pan Namiestnik zamianował weterynarza miejskiego w Krakowie Józefa Kałkowskiego, oglądaczy zwierząt Józefa Wędrychowskiego i Tauchima Hammermanne weterynarzami powiatowymi: weterynarza miejskiego w Komarnie Karola Konińskiego i weterynarza Józefa Serwę ze Strzyżowa oglądaczami zwierząt.

Przeniesienia. P. Namiestnik przeniósł lekarzy pow. dr. Antoniego Pietrzyckiego z Brzeska do Bochni, dr. Mieczysława Dębowskiego z Bochni do Podgórza i dr. Henryka Nycza ze Zbaraża do Brzeska; koncepistów sanitarnych dr. Franciszka Żukotyńskiego ze Stanisławowa do Zbaraża, dr. Erazma Odrowąż Krzyszkowskiego z Jasła do Strzyżowa i dr. Juliana Borego z Bohorodczan do Borszczowa; wreszcie asystenta sanitarnego dr. Cyryla Hyżyckiego z Drohobycza do Bohorodczan.

P. Namiestnik przeniósł weterynarzy powiatowych: Piotra Olbrychta z Kolbuszowej do Podgórza, Antoniego Pilcha z Gródka do Strzyżowa, oraz przeznaczył weterynarza pow. Józefa Kałkowskiego dla stacyi wchodowej w Podwołoczyskach, Józefa Wędrychowskiego dla Kolbuszowej; oglądaczy zwierząt Karola Konińskiego dla Gródka i Józefa Serwę dla stacyi wchodowej w Szczakowej.

Spis ludności. Namiestnictwo udzieliło magistratowi pozwolenie na przeprowadzenie jednodniowego spisu ludności Lwowa. Spis dokonany będzie przez magistrat dnia 15 października, podług odpowiednio ułożonych list, które wypełnią właściciele kamienic, zarządy zakładów i przytułsk. Spis ten posłuży do zestawienia dokładnego spisu wyborców z V kuryi.

Sejmiki relacyjne. Otrzymujemy następujące pismo: „Będę zdawał sprawę z mych czynności poselskich w Sieniawie dnia 10 września, zaś w Radymnie dnia 21 września, wszędzie o godzinie 11 przed południem. *Ks. Leon Pastor*, poseł do Rady Państwa“.

Cyrk drewniany, ale taki, który może być użyty i w zimie, zaczęto budować na rogu ulic Zygmuntowskiej i Mickiewiczowskiej. Koncesyę na budowę cyrku murowanego może dać urząd budowniczy, ale na budowę drewnianego zezwolić może tylko rada miejska, ona zaś takiego zezwolenia nie dała; pytamy tedy, czy to podczas bezkrólewia w zarządzie miejskim magistrat zastępuje prezydenta i radę miejską i nawet ustawę budowlaną?

Kandydaci notaryalni. Wczoraj po południu w kancelaryi notaryusza Piszka odbyło się walne zgromadzeni lwowskiego Towarzystwa kandydatów notaryalnych. Przedłożone na niem sprawozdanie za rok ubiegły podnosi, jako główne czynności Towarzystwa, zabiegi około kreowania nowych notaryatów w Jarosławiu, Drohobyczu, Stryju, Ottynii i Podwołoczyskach, oraz akcyę podjętą przy sposobności reformy procedury cywilnej, a mianowicie o zmianę jej na korzyść kandydatów notaryalnych. Akcya ta

uwieńczoną została pomyślnym skutkiem, gdyż przypuszczono kandydatów notaryalnych do służby sędziowskiej. — Fundusze Towarzystwa wynoszą 1000 zł., a członków jest 119.

Dotychczasowego prezesa p. Rastawieckiego, który został notaryuszem w Kulikowie, mianowano członkiem honorowym, a na jego miejsce wybrano p. Antoniego Schillera.

Zjazd robotników budowlanych. Dla skuteczniejszej propagandy haseł socyalistycznych, organizują przywódcy socyalistów lwowskich poszczególne zawody robotnicze w związki i stowarzyszenia. Do zawodów nieobjętych dotąd organizacyą socyalistyczną, należy jeszcze bardzo liczna grupa robotników budowlanych, w której skład wchodzą murarze, cieśle, terakociści, rzeźbiarze, stolarze i t. d. Otóż dla wciągnięcia ich w szeregi socyalno-demokratyczne urządzono we Lwowie trzydniowy zjazd delegatów robotników budowlanych z Galicyi i Bukowiny, który wczoraj rano rozpoczął swoje obrady w „domu robotniczym“ (w Pasażu Hausmana) udekorowanym flagami. Celem zjazdu jest, jak mówi program, omówienie normalnego czasu pracy, normalnego cennika, ubezpieczenia na starość dla wdów i sierót, oraz skonsolidowanie się, do walki z kapitalizmem. Delegatów zebrało się 50 ze wszystkich miast i miasteczek galicyjskich. Pierwszy dzień obrad, zeszedł na załatwieniu czynności formalnych jak wybór prezesów, sekretarzy komisyi itd. Po odczytaniu pisma gratulacyjnego od socyalistycznie usposobionych robotników kolejowych z Nowego Sącza i po przemówieniu delegata lwowskiej partyi socyalno-demokratycznej Diamanda, odśpiewali robotnicy „Czerwony sztandar“, poczem udali się na cmentarz Łyczakowski, aby tam złożyć wieniec na grobie Bolesława Czerwińskiego, jako autora tej robotniczo-socyalistycznej pieśni.

Dziś rano przez trzy godziny zdawali sprawę delegaci z rozmaitych miast, przedtem jednak socyalista Schifler mówił o wrzekomych postępach socyalizmu wśród robotników budowlanych w Galicyi wschodniej, zaś Sułczewski, który zarazem przewodniczył obradom, mówił to samo o zachodniej części kraju. Skonstatowano, że robotnicy budowlani jako element rewolucyjny, najlepiej nadają się do agitacyi. Obaj mówcy dotykali przedewszystkiem strejków i postulatu ograniczenia czasu pracy do godzin dziesięciu. Z kolei zdawali sprawę delegaci z Czerniowiec, Sieniawy, Nowego Sącza, Krakowa, Leżajska, Jarosławia, Sanoka, Przemyśla, Brodów, Stryja itd. We wszystkich sprawozdaniach podniesiono z naciskiem, iż robotnicy budowlani żądają 10 godzinnego czasu pracy, co też strejkami gdzie niegdzie już uzyskano. Obrady toczyć się będą dziś po południu i jutro przez cały dzień.

Międzynarodowe wyścigi cyklistów, zapowiedziane na wczoraj z powodu ulewnego deszczu nie odbyły się. Przeniesiono je na wtorek o godzinie pół do czwartej po południu.

Niezwykły grad nawiedził dnia 4 b. m. Stanisławów. Padając przez 10 minut, poczynił on w jarzynach w polu i ogrodach znaczne szkody. Ofiarą gradu padło kilka tysięcy szyb.

Wiec katolicki w Salzburgu. Lwowskie Tow. męskie św. Wincentego a Paulo wysłało do katolików zgromadzonych na wiecu w Salzbugu telegram następny: „Rada miejscowa Tow. św. Wincentego a Paulo we Lwowie przesyła katolikom zebranym na III wiecu austryackim, a specyalnie współbraciom z Towarzystwa św Wincentego serdeczne pozdrowienia i życzenia błogosławieństwa Bożego. — *Ks Jan Gnatowski*, prezes, *Kazimierz Zajączkowski*, sekretarz.“

Walne zgromadzenie Związku chłopskiego odbyło się dnia 3 b. m. w Nowym Sączu w sali „Sokoła“. Przybyło na nie około 60 członków Związku, oraz dużo księży, między nimi ks. Wilczkiewicz, Flis, Markiewicz, prof. ks. Zajchowski i księża posłowie Pastor i Fischer. Na zgromadzeniu byli także poseł Czecz z Bierzanowa, dr. Caro i marszałek Rady powiatowej sądeckiej Romer. Obrady rozpoczął przemową programową prezes Stanisław Potoczek. Przemowa ta pokazała, że Związek chłopski, stojący na gruncie czysto katolickim, coraz bardziej oddziela się od t. z. stronnictwa ludowego. „Chłop wierzy, że jest Bóg — mówił mniej więcej p. Potoczek — a człowiek doświadcza tego na sobie, bo jest dziełem bożem. Są ludzie, co mówią inaczej, ale ci działają z natchnienia szatańskiego i z pychy, jak ks. Stojałowski i socyaliści. Stosunki ludowe potrzebują naprawy, to prawda, ale jedynie związek chłopski dąży szczerze do niej. Kwestya ludowa istnieje, a jest to kwestya nagła i ważna, ale skuteczną robotę około jej rozwiązania może rozpocząć tylko rząd, a społeczeństwo ma go wspierać w tej pracy“. Po Potoczku przemawiali ks. Pastor i Fischer, oświadczając, że duchowieństwo dyecezyi przemyskiej na wiecu niedawno odbytem uchwaliło solidaryzować się ze Związkiem i popierać go. Następnie odczytano sprawozdanie i udzielono zarządowi absolutoryum, poczem obradowano nad bieżącymi kwestyami. Poseł Kramarczyk przysłał obszerny referat o rewizyi katastru gruntowego, który odczytano w skróceniu. W sprawie wyborów zabierał głos poseł Jan Potoczek, poczem uchwalono zawiązać powiatowe komitety wyborcze, których celem byłoby popieranie kandydatów Związku przeciw kandydatom stronnictwa ludowego.

Sojusznicy Stojałowskiego. Piszą nam z Gorlic 6 b. m.. „Socyaliści z p. Daszyńskim na czele wzięli w obronę p. Stojałowskiego przeciw Papieżowi, biskupom i „całej — jak się wyrażają — zgrai bandytów czenników karskich“. Ich organ *Naprzód* nr. 36 unosi się nad „ulotnem pismem“ p. Stojałowskiego „Nie pójdziemy do Kanossy“ i oświadcza się z gotowością przyjmowania od swych „czytelników“ składek dla „ulżenia doli“ jego. Winszujemy tak dzielnej obrony i tak hojnej pomocy! I w tym fakcie mamy świeży dowód, że socyaliści są wrogami Kościoła“.

Pożary. W Chomiakówce, obok Gwoździca, wybuchł dnia 2 b.m. pożar, który poczynił znaczne szkody. Ogień podłożyła 12letnia żebraczka, mszcząc się za odmówienie jej jałmużny.

Dnia 3 b. m. wybuchł pożar w stodole gospodarza J. Grossa w Wiesenbergu, wsi powiatu żółkiewskiego. Dzięki energicznemu ratunkowi mieszkańców kolonistów udało się pożar zlokalizować, w czem dopomogła straż ogniowa ochotnicza z pobliskiego miasteczka Kulikowa, przybywszy ze swym dzielnym naczelnikiem p. Jadwisiakiem. Pożar wzniecił stróż sadów, który, gotując obiad w polu, dostał padaczki i wpadłszy w ogień, zapalił na sobie odzież i tak płonąc do stodoły się skrył. Szkoda wynosi 600 zł. Cała krescencya zgorzała, dom wyratowano.

Ofiara na szkołę. Obywatel z Mościsk p. Józef Struszkiewicz wraz z dziećmi Waleryanem i Emilią Maryą wystosowali do nas pismo, w którem oświadczają gotowość ofiarowania gminie za połowę ceny swego gruntu pod budowę szkoły w Mościskach. Grunt ten położony jest na placu przy trakcie kolejowym, ma 516 sążni kwadratowych powierzchni, a należy do niego duży ogród. P. Struszkiewicz proponuje, aby na miejscu tem stanęła szkoła 8 klasowa z kursem dopełniającym dla dziewcząt, i 6 klasowa wydziałowa dla chłopców, wyraża jednak gorące pragnienie, aby kamień węgielny pod budowę tej szkoły położył Cesarz, dalej, żeby szkoła na pamiątkę dwukrotnego pobytu Cesarza w Mościskach nosiła nazwę szkoły im. Franciszka Józefa, ulica zaś idąca obok szkoły do kościoła nazywała się ulicą Cesarzowej Elżbiety.

Ofiarność tę podnosimy z uznaniem, zaś projekt użycia tej ofiary jest bardzo ładny, radzimy tedy p. Struszkiewiczowi, aby podał wprost do Cesarza prośbę o poświęcenie kamienia węgielnego. Najjaśniejszy Pan niewątpliwie uczyni zadość temu życzeniu, a ponieważ zapewne osobiście nie będzie mógł dokonać założenia kamienia z braku czasu, przeto niezawodnie przyszle delegata, który w Jego imieniu ceremonii dopełni.

Słowianie we Włoszech. Ślub ks. Neapolu z księżniczką czarnogórską odbędzie się w Rzymie w kaplicy Kwirynału w listopadzie. Po ceremonii kościelnej odbędzie się ślub cywilny. Błogosławieństwa kościelnego udzieli nadworny kapelan królewski. W tym celu zjadą z Cetynii rodzice panny młodej z resztą rodziny, oraz książęta domu sabaudzkiego. Syndyk Rzymu książę Ruspoli, ożeniony z Amerykanką, odłożył swój wyjazd do Ameryki, dokąd się miał udać w interesach żony, aby przygotować festyny, jakie się przy tej sposobności odbędą w Rzymie.

Słowianie włoscy, których jest we Włoszech około 40.000, chcą wysłać oddzielną deputacyę na ślub. W obrębie państwa włoskiego są czysto słowiańskie gminy we Friulu, w północnym krańcu Włoch i w okolicy Foggii ku południowi. We Friulu, gdzie ich nazywają Sklaronami, obsiedli od wieków górzyste wąwozy. Jest ich około 36.000. Zdaje się, że są przybyszami z Karyntyi czy Dalmacyi. Używają języka słowiańskiego i zachowali zwyczaje słowiańskie. Przywiązali się do Włoch, które im zostawiły wszelkie swobody. Śpiewają nawet hymn, zaczynający się od słów: „Predroga Italia, preljubi mój dom!“ W hymnie tym powiedziano między innemi, że do „zadnej“ (ostatniej) godziny kochać będą Włochy. Dawniej byli oni podlegli rzeczypospolitej weneckiej. Pisał o nich obszernie adwokat wenecki Karol Podrecca. Mała kolonia słowiańska przybyła przed wiekami z drugiej strony Adryatyku od strony Bocche di Cattaro, rozsiadła się pod Foggią niedaleko Barletty. Liczą ich kilka tysięcy. I ci również zachowali typ, zwyczaje, język, podania słowiańskie. Należeli dawniej do królestwa Neapolu i Obojga Sycylii.

Nansenomania, oto nazwa nowej choroby trapiącej mieszkańców półwyspu skandynawskiego, a osobliwie Norwegii. Popularność Nansena wzrosła do niebywałych rozmiarów, tak, że najdrobniejsze przedmioty służyć tam muszą obecnie do przypominania osoby śmiałego podróżnika i jego podróży. Jego wizerunek zdobi chustki, hafty i świeżego fasonu krawaty, zwane „krawatami północy“. Najnowszym zaś dowodem kultu nansenowskiego jest „zupa Nansena“. Wracając z ziemi Franciszka Józefa zabrał Nansen garnek z resztkami zupy, którą jadł w chwili, gdy go znalazła ekspedycya Jacksona. Zupa składała się z wody morskiej, mięsa młodej foki i mąki kukurudzowej. Otóż ta zupa stała się teraz najmodniejszą w Norwegii i figuruje na spisach potraw we wszystkich restauracyach. Ogromnem wzięciem cieszą się wizerunki Nansena z chwili, kiedy się on i Johansen spotkali po raz pierwszy z Jacksonem. Podróżnicy ci wyglądali niezmiernie komicznie, gdyż od piętnastu miesięcy nie golili się i nie strzygli włosów, mieli więc ogromne brody, a włosy z głowy spadały im na ramiona

Klub kobiecy utworzył się w Paryżu pod podwójną nazwą „Association féminine“ i „Ladies Club“. Dewizą jego jest: „Jedność, Solidarność, Protekcya“. Mieści się on w pięknym gmachu przy ulicy Duperré, zawiera sale do korespondencyi, do rozmowy, do czytania, do pracy i t. d. Stowarzyszone będą tam jadały śniadania, obiady, słuchały koncertów, urządzały wystawy i przedstawienia teatralne. Do klubu przyjmowane będą kobiety wyłącznie, nawet dziennikarze są z niego wykluczeni, z wyjątkiem publicystów zagranicznych, bawiących w przejeździe w Paryżu — tym wolno go zwiedzić, ale raz tylko jeden. Klub, założony przed paru miesiącami, liczy już 200 członkiń. Pierwsze to stowarzyszenie podobne we Francyi; takie kluby istnieją już w Stanach Zjednoczonych i w Danii. „Association féminine“ pozostaje pod zarządem komitetu, złożonego z sześciu członkiń: prezydentki, wiceprezydentki, dwóch sekretarek, skarbniczki i ekonomki. Dyskusye polityczne, religijne, oraz gry hazardowe są zabronione w klubie.

23 i pół roku narzeczeni! — tem nie każde małżeństwo pochwalić się może. W r. 1872 zaręczył się w Berlinie agent L. z daleką swoją krewną, panną H. Ciotka narzeczonej, osoba bardzo zamożna, nie pochwalała tego wyboru siostrzenicy i oświadczyła, iż nie da jej ani grosza, jeżeli pójdzie za głosem serca. Ale ciotka była już osobą starą i chorowitą, zatem para narzeczonych postanowiła czekać jej śmierci. Tymczasem ciotka przeżyła lat 78, a umierając, zapisała testamentem cały swój majątek pannie H. Teraz para narzeczonych ma wstrzymać się ze ślubem do r. 1897, najpierw dla tego, aby upłynął czas żałoby, powtóre, aby ślub obchodzić w 25 rocznicę narzeczeństwa.

Osobliwa statystyka. Pewien matematyk z Havru obliczył, że od 20 lipca, tj. od dnia przybycia do tego miasta, do 20 sierpnia, tj. dnia swego odjazdu na polowanie, prezydent Faure zrobił 670 km konno, 2570 km powozem, 1158 km statkiem, 3447 km koleją, 447 km pieszo, a więc ogółem 8292 km w ciągu 30 dni willegiatury i rzekomych wakacyi, co czyni przeszło 276 km dziennie.

Zmarli. Aleksandra Hellerowa, żona dyrektora teatru hr. Skarbka p. Hellera, zmarła wczoraj w Krakowie. — Marcin Kornfeld, jeden z najstarszych księgarzy, zmarł w Poznaniu. Nieboszczyk urządził w Poznaniu pierwszą publiczną stałą wystawę obrazów, pracował także na polu literackiem. — We Lwowie Zofia z Klimowiczów Kamieńska, żona komisarza dyrekcyi skarbu. — W Gruszowie w pow. wielickim ksiądz Andrzej Rudnicki, proboszcz. — W Zwierzyńcu pod Krakowem ksiądz Wawrzyniec Oprzędek, proboszcz, kanonik honorowy sandomierski a komisarz konsystorza. — W Zagrobeli koło Tarnopola Teodor Poupon de Reyvon, rodem Francuz, brał udział w powstaniu r. 1863, a potem zajmował się wychowywaniem dzieci w polskich domach szlacheckich.

Stan powietrza. T. o 9 rano + 9 R, w poł. +12 R. Bar. 764. Podnosi się. Pogoda.

Na ulicy.

— A bierzesz jakie lekarstwa?

— Żadnych nie biorę.

— Dlaczego?

— Bo mnie aż dwóch lekarzy leczy i jeden nie każe brać lekarstw drugiego..

Dobra rada.

Jeżeli serce poznać chcesz dokładnie,
Aby ci wszystko zostało wiadomem,
Co w niem się mieści i co leży na dnie,
Ucz się chirurgii i bądź...anatomem.

Jeszcze nasi stróże.

— Można obejrzeć mieszkanie?

— Niechno pan naprzód idzie do *rządcego*

— A to po co?

— Spisać kontrakt. Jak pan wynajmie, pokażę, jak nie, to nie. Będę naprózno latał na górę!...

Z teatru. Dziś w poniedziałek pierwszy występ pani Heleny Zimajer-Rapackiej „Nasze anioły“, komedya w 3 aktach Michała Wołowskiego. Jutro we wtorek po południu o godz. pół do 4-tej „Uriel Akosta“, tragedya w 5 aktach Karola Gutzkowa. Wieczorem „Gasparone“, operetka w 3 aktach K. Millöckera. We środę drugi występ pani Heleny Zimajer-Rapackiej oraz pierwszy występ panny Antoniny Ogińskiej, artystki teatru poznańskiego „Harde dusze“, sztuka w 5 aktach z powieści Elizy Orzeszkowej napisał Zygmunt Sarnecki. We czwartek „Niniche“, wodewil w 3 aktach Hennequina i Najaca, muzyka Delibera i Offenbacha z panną Broccard w roli tytułowej. W piątek trzeci gościnny występ pani Heleny Zimajer-Rapackiej „Komedyanci“, komedya w 4 aktach E. Paillerona.

Literatura i sztuka.

* **„Ks. Karol Antoniewicz T. J.“** przez ks. Jana Badeniego T. J. Kraków. 1896“. — Znakomity kapłan, misyonarz, kaznodzieja, poeta doczekał się nareszcie godnego literackiego pomnika, który wzniosła mu dłoń brata po powołaniu, kierowana gorącem sercem i umysłem wrażliwym na duchowe piękno, które jakby aureolą otacza postać tego niezwykłego kapłana. Pamięć o nim żyje w całej Polsce; z opowiadań, z krótkich „Wspomnień“ znają go na dalekich kresach naszej Ojczyzny, tam nawet, gdzie on nigdy nie bywał; ale nie mieliśmy dobrej biografii jego — wyprzedzili nas w tem Niemcy, nawet Francuzi. Była to, doprawdy, niewdzięczność z naszej strony, było i zaniedbanie własnej korzyści, bo żywot takich ludzi mieści w sobie naukę, napełnia szlachetną dumą, że tacy między nami bywają, podnosi, ożywia i oczyszcza miłość tej ziemi, z której tacy powstają. Teraz taką dobrą biografię dał nam ks. J. Badeni, pisarz tak znany z talentu narracyjnego, z umiejętności trafnego oświetlania przedmiotu, którego się dotknie, z żywości stylu, że o tej stronie jego ostatniej, a dużej pracy rozwodzić się nie potrzebujemy. Ale co dla informacyi powiedzieć trzeba, oto, że ta biografia jest zarazem ułamkiem historyi Galicyi w najsmutniejszej dobie jej porozbiorowego życia. Autor tak ugrupował materyał biograficzny, że nietylko postać ks. Antoniewicza występuje wypukło, w liniach klasycznych, poważnych, jakby posąg starożytny, ale nadto przed oczami czytelnika kolejno się przesuwają straszne obrazy rzezi na Mazurach, i rozgardyasz rewolucyi lwowskiej i cała groza pożaru Krakowa. A potem następuje misyonarstwo ks. Antoniewicza na Szląsku i takaż praca jego w Poznańskiem — i tu znowu autor-malarz pobieżnie, lecz zręcznie kreśli ówczesny stan tych dzielnic, by stworzyć tło dla swego posągu. Gdyśmy czytali tę część książki, przyszło nam na myśl, że w szeregu tych, którzy pierwsze iskry narodowego uczucia rzucali w duszę Szlązka, jednym z pierwszych i bardzo dzielnych był ks. Antoniewicz, chociaż o innych rozpowiadamy więcej, może nawet nie skąpiąc przesady. Zamykają książkę rozdziały: Apostolstwo słowem — piórem — życiem, a wreszcie przychodzi rozdział — „ostatnie prace, cierpienia, tryumfy“ — i wreszcie sześciowiersz na grobowcu. Tak od kolebki do grobu towarzyszył autor swemu bohaterowi, którego odlał jakby ze spiżu i postawił przed oczami współczesnego pokolenia ku nauce, pociesze i naśladowaniu. Do wieńca swej pisarskiej działalności dołączył autor tą książką piękny liść dębowy.

SPORT.

Na podstawie depeszy telegraficznej donieśliśmy na tem miejscu w nrze 203 z dnia 3 bm. o zwycięstwie konia „Tokio“ w Wielkiej nagrodzie w Baden-Baden. Obecnie już czasopisma zamieszczają dokładne sprawozdanie, z którego wyjmujemy niektóre szczegóły.

Z zapisanych 118 koni, jak już wspomnieliśmy, biegało 6, a wygrał „Tokio“; drugim był R. Wahrmanna ogier gniady 3letni, znany dobrze z torów austro-węgierskich „Voltigeur“ (oba austro-węgierskie), trzecim angielski P. Hamburyego ogier gniady 4letni „Lord Drummond“. Za tymi trzema przyszły dwa konie niemieckie „Dahlmann“ i „Seemärchen“, a ostatnim był francuski hr. de Felsa ogier kaszt. 5letni „Satan“.

Dotąd zwykle bywał „Tokio“ zapisywany jako własność spółki Matchless i biegał pod jej kolorami. W tym biegu jednak zapisany był na nazwisko p. Wahrmanna, będącego — jak wiadomo — uczestnikiem tej spółki; ale też na jego nazwisko zapisany był „Voltigeur“, będący — jak się zdaje — wyłączną jego własnością. Otóż prawdopodobnie wskutek zamierzonego rozwiązania spółki, o czem w swoim czasie donosiliśmy, oba konie biegały nie „składkowo“, to jest tak, aby jeden drugiemu pomagał, lecz każdy na swój rachunek, wskutek czego publiczność miała rzadki zresztą widok dwóch koni, pozornie z jednej stajni, bo pod jednymi kolorami zacięcie walczących z sobą. I po tej zaciętej walce „Tokio“ zwyciężył o długość szyi. Totalizator 17 : 10.

Wielki książę badeński osobiście wręczył ofiarowany przez siebie puhar p. Wahrmannowi, jako nominalnemu właścicielowi zwycięskiego konia. „Tokio“ zwycięstwem swojem przełamał widoczne urok — czyli po austryacku mówiąc „pech“ — ciężący przez pierwsze dwa dni wyścigów w Baden-Baden na koniach austro-węgierskich.

Czwartego dnia 27 sierpnia Z. br. Uechtritza ogier kasztanowaty 5letni „Kozma“ wygrał nagrodę ks. Walii 30.000 m., a p. Wahrmanna klacz kaszt. 3letnia „Satanita“ handicap heidelberski, w którym brało udział 15 koni.

Nakoniec piątego dnia 30 sierpnia p. Wahrmanna „Voltigeur“ wygrał nagrodę Hermana księcia sasko-weimarskiego 10.000 m.

Prasa sportowa austro-węgierska tryumfaje. Konie w monarchii wychowane wygrały w Baden-Baden: „Tokio“ nagrodę honorową (wartości 5000 m.) i 63.000 m, „Voltigeur“ 20.400 m., „Kozma“ 19 600 m., „Destillateur“ 1000 m., „Bonnie Lassie“ 400 m., „Vignola“ 100 m.

* * *

„Tokio“ dotąd biegał w Austro-Węgrzech, w Niemczech i Anglii razem 22 razy, a wygrał 16 razy. Suma wygranych wynosi okrągło 400.000 k.

* * *

W Totis, majątku M. hr. Esterhazego, między Komornem a Budapesztem, istnieje — jak wiadomo — oprócz stajni właściciela mnóstwo stajen trenerskich prywatnych i publicznych, tak iż dotąd Totis nazywają powszechnie austro-węgierskim Newmarket. Odbywają się tam corocznie wyścigi konne. I w tym roku odbyło się 30 sierpnia siedm biegów, z których tylko jeden znaczniejszy Handicap Tóvaros, nagroda 4000 koron, meta 2400 m. Mianowano koni 14, a biegało 6: M. hr. Esterhazego klacz kasztanowata 4letnia „Interregnum“ po St. Gatien od Interim 52.5 kg +; A. br. Harkanyiego ogier gniady 3letni „Grál“ 50 kg +.

Martwy bieg w handicapie jest zawsze wielkim tryumfem dla handicapera, bo dowodem, że przynajmniej dwa pierwsze konie znakomicie były ocenione i szanse ich wagami wyrównane.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 5 września.

(Z.) Silna tendencya, która i dziś w pierwszem stadyum obrotów przeważała, nie mogła utrzymać się do końca. Z Berlina bowiem nadeszła bardzo nieprzyjemna wiadomość, że bank niemiecki prawdopodobnie już w poniedziałek podwyższy stopę procentową. Wiadomość ta wielce zirytowała spekulantów zarówno tutejszych jak i berlińskich, to też pomimo, że na zachodnich giełdach była tendencya bardzo silna, u nas zamknięto kursa zniżką. Najmniej stosunkowo ucierpiały walory kolejowe, niektóre z nich, zwłaszcza Statsbahny, uzyskały nawet pewną zwyżkę.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 373 80, węgierskie 405 75, Anglobanki 157 50, Uniony 301·—, Bankvereiny 266·75, Länderbank 257·—, Ludwiki 219·—, Czerniowieckie 290 —, Elbethale 282 50, Renta papierowa 101·80, srebrna 101·80, austryacka złota 123·30, 4% austr. renta wal. kor. 101·20, węgierska złota 122·30 4% węgierska renta wal. kor. 99 60 dukat 5·64, 20-frankówka 9·52½, marki 11·73, ruble 1·27½.

§ **Wykaz cen artykułów żywności** za czas od 1 do 31 sierpnia rb. Wedle sprawozdania miejskiego urzędu targowego płacono za:

Sto kilogramów pszenicy zł. 6.49 do 7.—, żyta 4.84 do 5.21, jęczmienia 4.50 do 4.55, owsa 5.47 do 5.88; kilogram mięsa wołowego przedniego ct. 43 do 71, tylnego 49 do 78, polędwicy wołowej — do 80, wieprzowiny — do 52, baraniny — do 40, cielęciny 48 do 52, smalcu wieprzowego 69 do 70, słoniny — do 65, bułki zwykłej — do 26, kajzerki — do 36, rogalki na maśle — do 66, bułki czerstwej — do 24, chleba pszennego — do 11, żytnego — do 09, ciemnego — do 9, kulikowskiego 09 do 10, żółkiewskiego 10 do 11, winnickiego 07 do 09, mąki pszennej (od nru 5 do nru 00) 12 do 17, żytnej (od nru 3 do nru 2) 8 do 11, hreczanej — do 18, kukurudzianej — do 14, jagieł — do 12, krup perłowych (od nru 3 do nru 1) 21 do 25, jęczmiennych — do 17, hreczanych — do 18, pszennych (grysik) — do 20, ryżu 20 do 36, masła 96 do 98, sera osełkowego — do 26, faskowego — do 22, para jaj — do 4, litr mleka świeżego 0 do 7, zbieranego 0 do 5, kwaśnego 0 do 6, śmietany kwaśnej — do 30, słodkiej — do 23, para gęsi karmionych zł. 0.— do 0.—, kaczek 0.— do 0.—, kur 0.— do 1.40, kilogram ryb ct. 120 do 160, fasoli — do 13, grochu — do 11, cukru 37 do 38, kapusty kwaszonej — do —, kartofli 3 do 4, czterometrowy stos drzewa bukowego łupanego zł. — do 14.—, litr nafty ct. 18 do 24.

§ **Targ zbożowy na Kleparzu.**

Kraków 4 września.

Dzisiejszy targ na Kleparzu odbył się w usposobieniu stałem, gdyż właściciele zboża wstrzymują się ze sprzedażą, obstając przy podniesionych żądaniach, tak, że zaofiarowanie dzisiejsze wystarczyło zaledwie na miejscowe potrzeby. Skutkiem tego obroty nie przybrały wprawdzie większych rozmiarów, lecz ofiarowane partye pszenicy i żyta znajdowały chętnych nabywców po cenach lepszych. Jęczmień i rzepak również poszukiwane.

Płacono: pszenicę białą 7·40 do 7·75, czerwoną 7·30 do 7·70, żółtą 7·30 do 7·70, żyto 6·35 do 6·65, jęczmień browarny 6.25 do 7·—, na paszę 5·15 do 5.40 owies 5·50 do 5 80, rzepak 9.20 do 9.70, konicz czerwony 0.— do 0.—, biały —·— do —·—. Wszystko za 100 klgr.

Bank galicyjski dla handlu i przemysłu.

§ **Z kolei.** Południowo-niemiecki-austryacko-rosyjski ruch graniczny.

Z dniem 1 października 1896 wejdzie w życie dla wyż rzeczonego ruchu taryfa część II, zeszyt 1. Taryfa wyjątkowa dla przewozu maszyn i części składowych tychże z południowych Niemiec do Podwołoczysk-dworca trs. a przeznaczonych dla południowo-zachodniej Rosyi.

Telegramy „Przeglądu“.

Wiedeń 7 września. Wczoraj odbyła się w Praterze uroczysta msza polna na pomyślność pułku „Deutschmeistrów“, obchodzącego dwóchsetny jubileusz.

Po mszy odbyła się defilada „Deutschmeistrów“ i rozmaitych stowarzyszeń wojskowych tudzież rezerwistów tego pułku przed arcyksiążętami Eugieniuszem, Józefem i Ferdynandem.

Po południu odbył się w rotundzie historyczny pochód i rozmaite produkcye. Spalono także wspaniałe ognie sztuczne.

Wrocław 7 września. Z konferencyi, jaką mieli między sobą kierujący mężowie stanu Rosyi i Niemiec, okazuje się, że panuje między nimi zupełna zgodność zarówno w poglądach na ogólną sytuacyę jak i na specyalne kwestye, zajmujące obecnie dyplomacyę.

Car nadał kanclerzowi ks. Hohenlohemu order Andrzeja, Marschallowi order Aleksandra Newskiego w brylantach, ambasadorowi niemieckiemu w Petersburgu ks. Radolińskiemu również order Aleksandra Newskiego.

Cesarz niemiecki nadał tajnemu radzcy Szyszkinowi order Czerwonego Orła pierwszej klasy w brylantach, a ambasadorowi rosyjskiemu w Berlinie hr. Osten Sackenowi wielką wstęgę orderu Czerwonego Orła.

Wieczorem odbył się obiad dworski na 170 nakryć a potem przedstawienie galowe w teatrze.

Koszyce 7 września. Wczoraj odbyło się tu poświęcenie nowej wyższej szkoły żeńskiej. Arcybiskup Szamassa dał ucztę, na której minister oświaty Wlassics miał mowę i podniósł w niej, jak wielkie znaczenie ma prawdziwa religijność. Jest ona najpewniejszą podwaliną państwowego ładu, moralności i wypełniania obowiązków obywatelskich. Na tym punkcie stykają się wielkie interesa państwa i Kościoła.

Ateny 7 września. Król grecki odjechał do Kopenhagi.

Wiedeń 7 września. *Fremdeblatt* w osobnym dodatku ogłasza następującą depeszę Cesarza do komendanta pułku Deutschmeistrów, Hausnera: „Z radością przyjmuję do wiadomości wyrazy hołdu złożone mi przez pułk przy tak sołennej i prawdziwie patryotycznej uroczystości jego dwóchwiekowego istnienia. Z dumą może ten pułk patrzeć w przeszłość. Gdzie tylko powiewały nasze sztandary na polach bitew, tam byli dzielni Deutschmeistrowie, pod Zentą, Kolinem, Hochkirchem, Cladiero, Arcole, Aspern, Nowarą. Zasyłam pozdrowienia całemu pułkowi i wszystkim dawnym jego członkom, którzy dziś w obywatelskim zawodzie pracując, czują jeszcze łączność ze swym dawnym pułkiem“.

Szegedyn 7 września. Wczoraj odbyła się tu uroczystość poświęcenia rozmaitych budowli, wzniesionych celem uczczenia jubileuszu tysiąclecia Węgier, jak szkoły fachowej dla przemysłu drzewnego i metalowego, łazienek miejskich, pałacu izby handlowej i pałacu izby adwokackiej. Na uroczystości tej był minister handlu Daniel.

Wrocław 7 września. Carstwo odjechali stąd dziś o 8. rano. Cesarz Wilhelm i cesarzowa odprowadzili ich na kolej. Ludność wznosiła okrzyki „Hurra!“

HOTEL ŻORŻA

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 6 września. M. Agopsowiczowa z Trofanówki. H. Agopsowiczowa z Chomiakówki. St. hr. Tarnowski z Krakowa. A. Cielecki z Porchowy. W. hr. Dzieduszycki z Jezupola. B. Wolfarth z Słobody rungurskiej. J. Biliński z Wierzbicy. K. Drahanowsky z Kamionki Strumiłowej. J. Fraget z Warszawy. F. Kraut z Hajdy.

HOTEL EUROPEJSKI.

ALBERT SZKOWRON i Spółka

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 6 września. Excelencya A. Jaworski. J. Glück z Krakowa. Dr. J. Fleszar z Łańcuta. H. Lustig z Saaz. M. Biorecki i St. Koński z Hołotki. B. Rotter z Brodów. Nuchimson z Wołynia. De Scheibenhof, De Nachodsky z Mostów. O. Schütz, dr. Langer i dr. W. Landesberg z Tarnopola. De Tieraztyanski z Czerniowiec. A. Badischek z Florisdorfu. J. Sobolta z Krakowa. L. Oppenheim z Saaz. S. Lewandowski z Bełza. J. Habermann z Mikuliniec. S. Tomżyński z Krasiczyna.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 7 września (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 218 – do 221.–, Kolej Lwowsko-Czern.-Jassko po 200 zł. w. a. 288.— do 292.—. Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 390.— do 400·—. Akc. garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 203,—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 250.— do 260.

Listy zastawne za 100 zł.; Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 5 proc. a 10 proc. prem. 110.10 do 110.80, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 99.80 do 100.50. 4 proc. los w 60 lat 96.60 do 97.30. Banku kraj. 4 i pół proc. los. w 51 lat. 100.50 do 101.30. Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 97.50 do 98.20. Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I. emisya) 97.80 do 98.50 4 proc. los w 42 i pół latach 97.60 do 98.30, 4 proc. los. w 56 lat 97.50 do 98.20.

Obligi. za 100 zł.: Gal. fund. propinacyjnego 4 proc. 97.50 do 98.20. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102.50 do —. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.— do 102.70. Pożyczki kraj. 6 proc. 105.— do —.—, 4 i pół proc. 100.00 do 100·70, 4 proc. z r. 1891 97·— do 97.70, 4 proc. po 200 koron z roku 1893 97.— do 97.70.

Monety. Dukat cesarski 5.60 do 5.70. Napoleondor 9.45 do 9·55. Półimperyał 9.5% do —.—. Rubel rosyjski papierowy 1.26 do 1.27. 100 marek niemieckich 58.40 do 58.90.

12)

SERCE ZA SERCE

POWIEŚĆ

przez

Autora „Fałszerza".

(Ciąg dalszy).

Henryk padł na kanapę i ukrywszy twarz w dłoniach, zaczął łkać, jak dziecko. Łzy te uspokoiły nieco jego gorączkę i zmiękczyły serce. Wspomniał o matce, o swej szlachetnej, anielskiej matce, która była uosobieniem poświęcenia się miłości. Ach! dlaczegóż on ją opuścił i nie słuchał jej rad nieocenionych?

Pewnego ranka pani de Tremaliene wracała, jak zwykle z kościoła, gdy oddano jej list z poczty. Zaledwie zaczęła go czytać, bladość śmiertelna pokryła jej lica.

List był od Roberta Gael, który pisał co następuje:

„Szanowna i droga Pani! Ukochana moja Różyczka chciała sama do Pani napisać, ale dziś jest nieco cierpiąca, więc ja wyręczam.

Przedewszystkiem zacznę od niej. Siedzi właśnie naprzeciw mnie, uśmiechając się tym miłym uśmiechem, który jest promieniem mego życia. Znalazłem w niej nieporównaną towarzyszkę, żonę. Nieraz opowiada mi dzieje swego sierocego życia, w którem tyle dobrego, tyle miłości doświadczyła od Ciebie, Pani! Byłaś dla niej drugą matką, to też kochamy cię i poważamy oboje.

Jesteśmy w Nicei. Róży, nawykłej do szerokich horyzontów morskich wybrzeży, duszno było w Paryżu, sądziłem więc, że pobyt na południu odda wielkie usługi jej zdrowiu. Przybyliśmy do Nicei przed paru dniami, aby przypatrzeć się zabawie kwiatowej. Wynajęliśmy niewielkie piąterko, w białej willi, skąpanej w słońcu i woni róż, otulonej dokoła zielenią palm i drzew pomarańczowych. Z ogrodu naszego białe, marmurowe schody prowadzą aż nad sam brzeg morza. Zaciesznie tu, pięknie i cicho. Nie śmiem jednakże rozwodzić się nad urokiem cudownego krajobrazu, który takie ramy kwieciste tworzy dla naszego szczęścia, wobec smutnej wiadomości, jaką się czuję w obowiązku udzielić Pani. Nie mogę wahać się dłużej, choć ręka mi drży, bo czuję, że wielką przez to sprawię drogiej Pani boleść.

Nie bywamy sami w świecie, ale echo tego, co się dzieje w pewnych sferach towarzyskich, obija się o nasze uszy. Wczoraj na przechadzce spotkaliśmy dwóch młodych ludzi, rozmawiających z synem Pani. Nasz biedny kuzyn bawi, jak się okazuje, w Nicei i znajduje się w opłakanem położeniu. Stracił wszystko, co do ostatniego szeląga, i obawiamy się, aby nie popełnił jakiego nowego szaleństwa, albo nie skończył na odebraniu sobie życia.

Niech Pani raczy przybyć co prędzej, gdyż musimy go wyrwać z toni występnego życia. Może opamięta się nareszcie. Takie anielskie serce matki, jak Pani, miewa niekiedy natchnienia z niebios, może więc Pan Bóg pozwoli Ci uratować twe jedyne dziecko.

Róża i ja z najgłębszem przywiązaniem i wdzięcznością ręce Pani całujemy, oddając się na Jej usługi. Robert."

Pani de Tremaliene zwolna złożyła ten list niespodziewany. Jakaś moc nieznana, z serca zrodzona, zdawała się popychać ją do czynu. Uklękła przed godłem Zbawiciela i modliła się gorąco.

— Dobry pasterzu! tyś opuścił dziewięćdziesiąt dziewięć owieczek, aby biedz za jedną zbłąkaną i przywiodłeś ją na powrót do owczarni, dozwól i mnie iść za twym wielkim przykładem..

Wstała, ożywiona nadzieją, pokrzepiona modlitwą. Lecz jak się weźmie do uratowania syna? Chyba Bóg zrozpaczonych matek wskaże jej drogę do zakamieniałego serca złego dziecka...

Jeszcze dnia tego, wieczornym pociągiem, wyjechała do Nicei.

Całą noc nie mogła zmrużyć oka. Zimno było dokuczliwe, a wicher szerokiem skrzydłem zamiatał płaszczyzny, dostając się przez okna i drzwi do nieopalanego wagonu. Ale ona, drżąca, jak w febrze, nie czuła jednak chłodu. Jedyną jej myślą, jedynem pragnieniem było co prędzej stanąć w Nicei.

Pociąg pędził z błyskawiczną szybkością, mijając wioski i miasta. Pod koniec następnego dnia, krajobraz, dziki i smutny dotąd, zaczął się ożywiać. Zbliżano się ku południowi. Wiatr przycichł, gaje oliwne i drzewa migdałowe ukazywały się tu i owdzie. Niebo przybrało niezmiernie piękną barwę opalu, a krzewy winogradu pokrywały stoki gór i parowów.

Konduktor szybko wygłaszał nazwy stacyj, jedne po drugich. Pani de Tremaliene, znużona śmiertelnie zawrotną szybkością jazdy i dwiema bezsennie spędzonemi nocami, przymykała oczy, niezdolna podziwiać piękności południowej natury. Z piersi jej rwał się jeden tylko stłumiony okrzyk:

— Byle przyjechać na czas!

Róża i Robert powitali ją na stacyi.

Uściskawszy ich, zapytała:

— Czy macie wiadomości o moim synie? Gdzie mieszka? Co robi? Przyjeżdżam, aby go pocieszyć, wesprzeć, pielęgnować!... aby, jeżeli Bóg pozwoli, nawrócić go. Lecz co to za tłum? — zawołała nagle, widząc niezwykłe ożywienie miasta. Zapomniała, że to był ostatni dzień karnawału. Szykowano się właśnie do wielkiej zabawy kwiatowej. Przystrojone kwieciem powozy, podążały w jednym kierunku, a jaskrawe toalety w obramowaniu bzów, róż i hiacyntów mieniły się w słońcu tęczowym szlakiem. Tłum pieszych cisnął się po obu stronach drogi; widzowie zapełniali szczelnie fantastycznie udekorowane balkony, flagi różnobarwne zwieszały się z każdego okna. Pani de Tremaliene nic nie widziała przed sobą; nie słyszała też rozpływającego się w powietrzu gwaru rozradowanego tłumu, gdyż wszystkie jej władze umysłowe skupiły się w jednej myśli o nieszczęśliwym Henryku. Co chwila pytała swego towarzysza:

— Więc widziałeś go, Robercie? Więc już nie ma ani szeląga?... Powiadasz, że bardzo czuje się nieszczęśliwym? Biedne dziecko!... To właśnie daje mi nadzieję, że trafię do jego serca. Przynoszę mu całą pełnię przebaczenia i spokoju, jeżeli zechce skorzystać z mojej dobroci.

Ukryła twarz w dłoniach, a po chwili rzekła tonem głębokiego przeświadczenia:

— Gdy stanę przy nim w chwili, kiedy cały świat go odstąpił, odepchnął od siebie, wyzna mi winy swoje i przygarnie się napowrót do serca macierzyńskiego, które nigdy, nigdy nie zawodzi. On był niegdyś dobrem dzieckiem... Niepodobna, aby mi go ludzie do gruntu zepsuli.

Zdawało się tej biednej męczennicy, że słyszy złamany głos syna, że widzi ręce jego, wyciągające się ku niej w błagalnej prośbie o przebaczenie.

— Ciociu — prosiła Róża, gdy powóz zatrzymał się przed willą — wejdź, proszę, spocznij trochę, nabierz sił.

— Nie, nie... — broniła się pani de Tremaliene. — Nie zaznam chwili wytchnienia, dopóki go nie wyrwę ze szponów rozpaczy. Nie mogę żyć z tą myślą, że on tam cierpi tak okrutnie. Błagam was, prowadźcie mnie do niego!

Oni spełnili to życzenie poświęcającej się matki, wskazując jej mieszkanie syna.

Tchu pozbawiona, weszła z trudnością na piąte piętro hotelu, w którym zrujnowany Henryk zajmował nędzny pokoik. Przez uchylone drzwi ujrzała go, siedzącego przy stole. Coś pisał.

— Boże! jakże strasznie był zmienionym. Ta cera trupio blada, te ręce wychudłe, drżące konwulsyjnie, to oczy zapadłe, świecące gorączkowo... I cóż to życie z niego zrobiło?...

— Jak on musiał cierpieć! — jęknęła z cicha pani de Tremaliene. — Czyżby istniało prawo, na którego mocy katusze, zadane matkom przez synów, spadają potem na nich samych?

Stała chwilę, wpatrzona z boleścią w to czoło pochylone, niegdyś tak czyste i dziecięco spokojne, na którem obecnie życie wypisało ślady walk okrutnych; potem w uniesieniu bezbrzeżnej miłości i przebaczenia wyciągnęła nagle obie ręce ku zbłąkanemu, wołając głosem nieprzebranej miłości:

— Synu mój!...

Odwrócił się raptownie i zerwał z miejsca. Stała przed nim, jak posąg bólu i miłosierdzia, bez skargi na ustach pobladłych, bez wyrzutu w oczach, zalanych łzami.

Na ten widok coś drgnęło w skamieniałem sercu Henryka.

— Matko! — jęknął wzruszony. — Matko, ty tutaj!?

Ona już pochwyciła obie jego ręce, już tuliła go do siebie, oczyma tonąc w jego oczach.

— Dowiedziałam się, że jesteś nieszczęśliwym i pośpieszyłam do ciebie — mówiła przerywanym głosem. — Czyż miejsce matki nie jest przy cierpiącem dziecku? Jam cię nigdy, ani na chwilę nie przestała kochać, nigdy nie przestałam modlić się za ciebie... Sądziłam, że powrócisz do mnie, a że zbyt długo czekałam... więc pierwsza przybyłam do ciebie. Jak żebrak, łaknący chleba, tak ja, w starości mojej opuszczonej, łaknę przywiązania twego i opieki. Synu mój, wróć do mnie, a o całej strasznej przeszłości zapomnimy i będziemy żyli szczęśliwi i spokojni!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski. Papier z fabryki Fijałkowskich w Białej. Drukarnia nar. St. Maniecki i Spółka (Hotel Żorża). Zarządca W. Hodek.